

Z KRAINY DUCHA GÓR



ŻYCIE • HISTORIA • NATURA • KULTURA
TURYSTYKA • KARKONOSZE I OKOLICE



Unia Europejska



**DOLNY
ŚLĄSK**



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie. Instytucja Zarządzająca PROW 2014–2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Publikacja opracowana przez Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Ducha Gór, współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania 19.2 Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego kierowanego przez społeczność PROW 2014–2020



konkurs fotograficzny

zgłaszanie prac do 18 grudnia 2023

więcej informacji | regulamin | karta zgłoszenia:

www.fundacjanj.pl | www.duchgor.org





Od redaktora

Jesienne wydanie magazynu regionalnego „Z Krainy Ducha Gór” trafia w ręce czytelników w nieprzypadkowym czasie. Z jego przygotowaniem czekaliśmy bowiem na szczególnie wydarzenie, którego prezentacja i udokumentowanie na łamach tego właśnie czasopisma było naszym wewnętrznym obowiązkiem. Nie mieliśmy związanych z tym jakichkolwiek zobowiązań formalnych ani specjalnych profitów, jak to zwykle w przypadku misyjnych działań bywa... Natomiast dodatkowych kłopotów przybyło całe mnóstwo. Nic to jednak, bo warto było poczekać, by pokazać Państwu coś wyjątkowego, arcyważne spotkanie nietuzinkowych postaci i uroczystość bezcenną z perspektywy tworzenia życia społecznego, budowania więzi środowiskowych, podnoszenia jakości życia regionu i kreowania jego wizerunku. Mowa oczywiście o tegorocznej Gali Karkonoskiej Marki Lokalnej – Skarby Ducha Gór, którą Partnerstwo Ducha Gór wraz z partnerami i twórcami Marki urządziło w połowie listopada.

Czy w ostatnim czasie było jakiekolwiek inne wydarzenie tej rangi i o takim charakterze zorganizowane w naszym regionie, lokalne i światowe zarazem?

Powierzono mi niełatwą misję poprowadzenia tego wydarzenia, co sprawiło, że stojąc na scenie i obserwując jego bohaterów, z bliska zobaczyłem coś naprawdę wspaniałego, wielkie dzieło, które wciąż jest w procesie powstawania i dojrzewania, nieustannie na początku drogi, ale jego twórcy już mówić mogą o gigantycznym sukcesie, jaki głosić można i należy, wszem i wobec. Udało im się wszak coś, co wymaga składnika wielce szlachetnego, wciąż – niestety – dość rzadko występującego, drogiego, bo fundamentalnego,

czyli WSPÓŁDZIAŁANIA wielu świadomych osób, indywidualnie bardzo różnych, pięknie odmiennych, ale połączonych jednością myśli o celu, do jakiego wspólnie zmierzać powinniśmy. Naiwna refleksja oderwanego od rzeczywistości, żeby nie powiedzieć głupiego, idealisty? Być może, ale czy na pewno? To, co pokazała Gala dowodzi, że nawet w czasach bolesnego zaniku autentycznych więzi międzyludzkich, są prawdziwie wartościowe sprawy, które nas łączą. Wymagają jednak środowiskowego porozumienia, wsparcia i ogromnego zaangażowania.

O tym, czym jest MARKA, specjaliści mówić mogą bez końca. Czy Kraina Ducha Gór ma markę? Czy jest coś, co decyduje o jej unikatowości, wyjątkowej jakości życia mieszkańców i wrażeniach odwiedzających nas gości? Czy ma coś co jej walorom lokalnym nadaje światową klasę? Tak. Ma Karkonoską Markę Lokalną. Wciąż nową, nieokrzepniętą i niedocenianą, ale już istniejącą. To nie tylko najróżniejsze, certyfikowane produkty lokalne – przedmioty, które można wziąć do ręki, żywność, jakiej można posmakować, równie namacalne usługi, ale też imprezy. Za Certyfikatami KML kryją się też emocje decydujące o wykwintnym smaku miejsca, generowanych przezeń wrażeniach i budowaniu jego tożsamości.

O marce miejsca decydują LUDZIE, wypełniający je życiem. Nic w tym zaskakującego, niektórych jednak warto certyfikować i stawiać jako wzorzec spojrzenia na świat, w którym liczy się coś więcej niż tylko codzienna walka o przetrwanie. Prawdziwe SKARBY DUCHA GÓR. Ruszamy w kolejną podróż do ich KRAINY. Zapraszamy!

Daniel Antosik

Fot. **Jacek Deneka / Bieg Piastów**





NR 4 LATO 2023

- 3 / **Od redaktora** / *Daniel Antosik*
- 5 / **Święto Skarbów Ducha Gór** / *Daniel Antosik, Kacper Loch*
II Gala Karkonoskiej Marki Lokalnej
- 13 / **Smaki regionu** / *Partnerstwo Ducha Gór*
Pyszne spotkania przy stole pełnym produktów lokalnych
- 14 / **Przejście Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza** / *Katarzyna Kozłowska*
Pamiętać, doświadczyć gór i zmierzyć się z własnymi słabościami
- 17 / **UltraKotlina – Bieg Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej – co roku w poszukiwaniu magii...** / *Katarzyna Kozłowska*
Wyjątkowe zawody sportowe w Sudetach Zachodnich
- 20 / **Beata od karkonoskich aniołów** / *Joanna Cychol*
Anioły Staroskrzydłe, Anioły Kieszonkowe, Anioły Bose, Anioły Róż(love), Anioły Nieoczywiste to najbardziej znane drewniane serie, które stworzyła Beata Makutynowicz. Zagłębiamy do pracowni artystki z Karpacza.
- 26 / **Janowickie opowieści** / *Dorota Goetz, Krzysztof Zawadzki*
Otwieramy kapsułę czasu. Zagłębiamy do rodzinnych albumów, sięgamy do domowych wspomnień i rozmów z sąsiadami.
- 30 / **Miejsca nieoczywiste: Grabowiec a święty Graal** / *Jarosław Szczepkowski*
Odkrywamy tajemnice tryskającego energią miejsca o pasjonujących dziejach i niesamowitej mocy
- 34 / **Jak wygrano wojnę o las** / *Leszek Kosiorowski*
Po klęsce ekologicznej w górach drzewa znów są zielone
- 37 / **Historia osobista Zyty Bałazy** / *Leszek Kosiorowski*
Opowieść o wspaniałej kobiecie, która wybrała życiową drogę przez las
- 40 / **Kolej rośnie w siłę** / *Leszek Kosiorowski, Daniel Koszela*
Pociągi wracają na tory, przybywa pasażerów, zmienia się komunikacja w regionie
- 44 / **Pociąg do kultury. Na 4Peronie oczywiście** / *MOKSiA! Szklarska Poręba*
Kulturalny odjazd na dworcu w Szklarskiej Porębie
- 48 / **1+1+1=1** / *Osiedlowy Dom Kultury w Jeleniej Górze*
Podsumowujemy wydarzenia kulturalne realizowane pod zaskakującą nazwą...
- 50 / **Niepoliczalna obfitość maku** / *Anna Komsta*
Rzecz o kulinarnym bogactwie Gór Olbrzymich, kuchennych zwyczajach i coś na ząb
- 54 / **Z Bestiariusza Jeleniogórskiego...** / *Tomasz Szyrwiel*
Fantastyczne opowieści z krainy wiecznych mgieł
- 56 / **Nowości Wydawnictwa Ad Rem** / *Sandra Jaskólska*
Serie wznowień wartościowych książek regionalnych
- 58 / **Dawnej fotografii czar** / *Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze*
Fantastyczna wyprawa w przeszłość, którą trzeba zobaczyć

Z KRAINY DUCHA GÓR

Magazyn regionalny
ISSN 2956-6533

WYDAWCA:

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania

PARTNERSTWO DUCHA GÓR

ul. 1 Maja 9 lok. użytkowy 2,
58-530 Kowary
tel. (+48) 75 644 21 65,
e-mail: sekretariat@duchgor.org
www.duchgor.org
www.skarbieduchagor.pl
KRS: 0000321321
NIP: 611-266-36-54

KONTO BANKOWE:

17 1090 1926 0000 0001 2100 6746

REDAKCJA

Daniel Antosik
(redaktor prowadzący)
tel. 601572243
Dorota Goetz
(redaktor naczelny)

Joanna Cychol
Ewa Kiraga-Wójcik
Leszek Kosiorowski
Olga Orlińska-Szczyżowska
Jarosław Szczepkowski
Tomasz Szyrwiel
Grzegorz Truchanowicz

KOREKTA

Ewa Kiraga-Wójcik

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Natalia Jaskólska / AD REM

ZDJĘCIA NA OKŁADCE

Daniel Koszela

DRUK

AD REM

Redakcja nie odpowiada za treść reklam i ogłoszeń, nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie i wykorzystywanie publikowanych materiałów tylko za zgodą wydawcy.

Operacja własna
Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania
Partnerstwo Ducha Gór
pn. „Magazyn Krainy Ducha Gór”

Obszar działania organizacji: Karpacz,
Janowice Wielkie, Jelenia Góra, Kowary,
Mysłakowice, Piechowice, Podgórzyn,
Szklarska Poręba

CZASOPISMO BEZPŁATNE



Święto Skarbów Ducha Gór

Wspaniałe wydarzenie, jakiego próżno szukać w jakimkolwiek innym miejscu. Bardzo wartościowe i jedyne w swoim rodzaju spotkanie osób współtworzących współczesny wizerunek i charakter regionu oraz prezentacja tego, co bezcenne i unikatowe w krajobrazie Krainy Ducha Gór, stanowiące o jego wartości, obliczu i atrakcyjności. Blisko dwieście osób uczestniczyło w 2. Gali Karkonoskiej Marki Lokalnej, na którą Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Ducha Gór zaprosiło 14 listopada 2023 r. do Centrum Przyrodniczo-Edukacyjnego Karkonoskiego Parku Narodowego w Jeleniej Górze – Sobieszowie. Prawdziwa uczta (także w sensie dosłownym!) dla koneserów wyjątkowego smaku miejsca, które wypełniamy życiem. Wielkie święto Skarbów Ducha Gór.

Nic dziwnego, że reprezentacyjne sale Pałace Sobieszów wypełniły się po brzegi gośćmi. Twórców Karkonoskiej Marki Lokalnej jest niemało i mają oni do zaoferowania bogaty zestaw regionalnych specjałów o wielkiej sile przyciągania. Galę zaszczylicili też ich partnerzy i oficjalni goście z Marszałkiem Województwa Dolnośląskiego, Cezarym Przybylskim na czele. Obok licznych przedstawicieli władz lokalnych i instytucji samorządowych, organizacji społecznych, stowarzyszeń, kół gospodyń wiejskich, rad seniorów, pojawili się też przedstawiciele firm branży turystycznej oraz lokalnych grup działania z terenu Dolnego Śląska. Nie zabrakło też Ambasadorów Karkonoskiej Marki Lokalnej – Lucyny Kornobys, Rafała Froni i Kazimierza Pichlaka.

Program Gali sprawia, że nie jest ona nudną uroczystością, ale także ciekawym wydarzeniem kulturalnym oraz ważnym,

potrzebnym i wyczekiwanym spotkaniem środowiskowym, które chce się celebrować. I, co szczególnie istotne, każdy z jego składników miał lokalny wymiar. Na dobry początek zabrzmiał koncert w wykonaniu wiolonczelisty, kompozytora i aranżera Romana Samostrokova oraz pianistki Vitaliny Samostrokov ze Stowarzyszenia Muzyczno – Wydawniczego „Klassic Modern”, twórców Karkonoskiej Filharmonii Kameralnej, która tego dnia oficjalnie otrzymała certyfikat Karkonoskiej Marki Lokalnej. Pokaz promocyjnego filmu o Skarbach Ducha Gór, o których opowiadała też szefowa Partnerstwa Ducha Gór Dorota Goetz, stanowił wstęp do interesującego, krótkiego wykładu dotyczącego produktów lokalnych, przygotowanego przez dr. hab. Piotra Gryszela, profesora Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, z jeleniogórskiego wydziału tej uczelni, który jest też Przewodnikiem Sudeckim.



Wydarzenie zgromadziło
blisko 200 uczestników



Zasadniczą częścią imprezy było uroczyste wręczenie certyfikatów Karkonoskiej Marki Lokalnej nowym produktom i usługom oraz prezentacja nowych Skarbów Ducha Gór, których w tym roku przybyło aż 20.

Na finał spotkania przygotowane zostały minitargi produktów regionalnych certyfikowanych KML oraz degustacja produktów spożywczych oznaczonych marką Skarbów Ducha Gór oraz stworzonych z nich oryginalnych przekąsek przygotowanych przez uczniów i nauczycieli Dolnośląskiego Zespołu Szkół w Karpaczu, a także Zespołu Szkół Technicznych i Branżowych „Handlówka” w Jeleniej Górze. Finałowa prezentacja i degustacja pysznych przekąsek została przygotowana w ramach realizacji projektu „Międzypokoleniowe spotkania przy stole ze zdrową i lokalną żywnością”, sfinansowanego ze środków Województwa Dolnośląskiego.

Apetyczne zakończenie Gali było okazją nie tylko do posmakowania lokalnych specjałów, ale przede wszystkim do rozmów i bezpośrednich kontaktów z twórcami Skarbów Ducha



Ambasadorów KML – Lucynę Kornobys, Kazimierza Pichlaka i Rafała Fronię spotkać można było na scenie, przed kamerami i na widowni

Tekst: **Daniel Antosik**

Zdjęcia: **Kacper Loch**



Gór oraz osób wspierających ich działania oraz korzystających z ich efektów.

Gdzie szukać produktów certyfikowanych Karkonoską Lokalną? Chcecie więcej dowiedzieć się na ich temat? Spójrzcie na ostatnią stronę naszego magazynu, który trzymacie w rękach. Tam znajdziecie adresy map, które doprowadzą Was do celu. W kolejnych wydaniach naszego czasopisma (także na kolejnych stronach aktualnego wydania) prezentujemy wybrane Skarby Ducha Gór oraz sylwetki ich twórców.





Karkonoską Markę Lokalną
z dumą prezentowała
jej pomysłodawczyni
– Dorota Goetz



Uroczyste spotkanie muzyką rozpoczęli
Roman Samostrov i Vitalina Samostrov
– twórcy Stowarzyszenia Klassik Modern
i Karkonoskiej Filharmonii Kameralnej



Naukowiec i Przewodnik Sudecki
w jednym, czyli dr hab. Piotr Gryszel,
profesor Uniwersytetu Ekonomicznego
we Wrocławiu tłumaczył, czym są i jaką
wartość mają produkty regionalne.



Wśród markowych produktów znalazły się m.in. fotografie Grzegorza Truchanowicza współtworzącego ilustracyjną warstwę naszego magazynu



Certyfikaty KML wręczał m.in. Marszałek Dolnego Śląska, Cezary Przybylski



Uczestnicy uroczystości długo oklaskiwali twórców markowych produktów

DOTYCHCZASOWI TWÓRCY KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ

- P.G.U.H. „Siedlisko Pstrąga” Grzegorz Wojtunik
- Wydawnictwo Poligrafia AD REM Regina Chreścijańska
- Przedsiębiorstwo Turystyczne BAŁTYK-KARKONOSZE Marcin Piaścik
- Jan Gałek
- Piekarnia „UliJanka” Urszula Klejps
- KLT Zygfryd Szygula Kornelia Szygula s.c.
- GIGANTEI Spółka Cywilna Agnieszka Koralewska, Kamila Gadomska
- Miasto Szklarska Poręba
- Marek Bartnik „Pasieka Karkonoska”
- GOLDDOM Sery Łomnickie Daniel Sokołowski
- Abditus Sp. z o.o.
- Gospodarstwo Rolne „Widok” Kamila Pietraszek
- Makutynowicz Art. Beata Makutynowicz
- REHMED Sylwia Kośmider Kurowska
- Firma Handlowo-Usługowa Agat Zbigniew Hochół
- Słodka Chatka Marcin Goetz
- SUDECKA KRAINA – Jarosław Szczyżowski
- Muzeum Ziemi Minerals & Rocks JUNA
- Przedsiębiorstwo Usługowo-Handlowe BARTŁOMIEJ KRAWICZ
- Usługi Artystyczne Bartek Drak
- Piskowy Koń Natalia Poniatowska-Wasiak
- Jolanta Piątkowska
- Ewa Sidor
- Barbara Sokołowska
- Biuro Turystyki Młodzieżowej Maciej Stanisławski-Podgórski
- Gospodarstwo Rolne Wiktor Zimmer
- Przedsiębiorstwo Wielobranżowe Dorado Janina Zimmer
- Usługi Turystyczne i Sportowe „Dom Górski” Tomasz Popławski
- Muzeum Sentymentów – Andrzej Olszewski



Nielatwo było zrobić
wspólne zdjęcie
odbierających certyfikaty.
Bohaterów wydarzenia
trudno było zmieścić
na scenie

NOWE CERTYFIKATY KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ

- Fundacja Przejście Kotliny
UltraKotlina – Bieg dookoła Kotliny Jeleniogórskiej
Przejście dookoła Kotliny Jeleniogórskiej
im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza
- Restauracja „U Ducha Gór” s.c. Marek Łopatka, Marcin Łopatka
Muzeum Ducha Gór w Domu Tyrolskim
Półmisek Ducha Gór w Restauracji Ducha Gór
- Olga Orlińska-Szczyżowska
Akademia Magii Natury i Sztuki im. Ducha Gór
- Powiat Karkonoski oraz gminy partnerskie:
 - Gmina Mysłakowice
 - Gmina Miejska Kowary
 - Gmina Janowice Wielkie
 - Gmina Podgórzyn
 - Gmina Karpacz
 - Gmina Miejska Piechowice
 - Miasto Szklarska Poręba
- **Gra planszowa „Visit Karkonosze”**
- Mleczne Michałowice Łukasz Niedbalski
Ser Michałowicki z Ziołami Ducha Gór
- Stowarzyszenie Muzyczno-Wydawnicze „Klassik Modern”
Karkonoska Filharmonia Kameralna
- Grzegorz Truchanowicz
Kraina Ducha Gór na fotografiach
Grzegorza Truchanowicza
- Wydawnictwo Poligrafia AD REM Regina Chreścijańska
„Przygody Karkonoskich Skrzatów”
- Gmina Miejska Kowary
WENECJA KARKONOSZY – promenada spacerowo
-turystyczna wzdłuż potoku Jedlica w Kowarach
- Gospodarstwo Rolne „Widok” Kamila Pietraszek
Syrop z Aronii Ekologicznej 100%
– Karkonoska Aronia Bio
- **Syrop z Aronii Ekologicznej 100% z Miętą**
– Karkonoska Aronia Bio
- **Syrop z Aronii Ekologicznej 100%**
z Przyprawami Korzennymi i Miodem
– Karkonoska Aronia Bio
- Gmina Karpacz
Zagadkowa Podróż w Krainę Ducha Gór
– zestaw gier terenowych
- Janowickie opowieści – Partnerstwo PAFW Janowice Wielkie
Janowickie opowieści – historyczno-kulturowa
trasa turystyczna
- Koło Gospodyń Wiejskich „Przesieczanki” w Przesiece
Karmelowe Kózki z Przesieki
- Stowarzyszenie Koła Gospodyń „Miłkowanie”
Rogaliki z Jagodą Karkonoską z Miłkowa
- Koło Gospodyń Wiejskich w Podgórzynie
Smalec Podgórzyński
- Koło Gospodyń Wiejskich w Bobrowie i Wojanowie
Kapuśniaczki Bobrzańskie



Twórcy Skarbów Ducha Gór
osobiście prezentowali
swoje produkty



Na stoiskach
lokalnych producentów
zobaczyć można było
bogactwo regionu

II GALA KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ

ORGANIZATOR:



STOWARZYSZENIE LGD
PARTNERSTWO
DUCHA GÓR

PATRONAT MEDIALNY:



Z KRAINY DUCHA GÓR
MAGAZYN REGIONALNY



WSPARTY:



KARKONOSKI
PARK
NARODOWY





Przekąski z certyfikowanych produktów, przygotowane przez uczniów i nauczycieli szkół uczestniczących w specjalnym projekcie edukacyjnym, cieszyły się ogromnym powodzeniem





Smaki regionu

II. GaLa KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ



FINGER FOOD KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ:

KANAPKA NA CHLEBIE KARKONOSKIM

Z PAPRYKARZEM Z PSTRĄGĄ W KREMIE CHRZANOWO-KAPAROWYM

SALATKA Z SERAMI LOKALNYMI

Z GRUSZKĄ, Z MIODEM LEŚNYM I ORZECHEM ŁASKOWYM

PSTRĄG WĘDZONY W GALARECIE Z AGRESTEM I SALSIFIĄ

PANA COTTA Z DYNI Z MIODEM LEŚNYM I KRUSZONKĄ Z PIERNIKA

PRODUKTY KML WYKORZYSTANE DO DAŃ:

PIERNIK TRZCINSKI – SŁODKA CHATKA MARCIN GOETZ

CHLEB KARKONOSKI – PIEKARNIA „ULJANKA” URSZULA KLEIPS

PAPRYKARZ KARKONOSKI

– P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

MIÓD LEŚNY Z TERNU KARKONOSZY

– PASIEKA KARKONOSKA MAREK BARTNIK

SER MICHAŁOWICKI Z ZIOŁAMI DUCHA GÓR

– MLECZNE MICHAŁOWICE ŁUKASZ NIEBĄLSKI

SER ŁOMNICKI Z KOZIEJ ŁĄKI

– GOLDDOM SERY ŁOMNICKIE DANIEL SOKOŁOWSKI

PSTRĄG WĘDZONY – P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

PŁATKI FILETA Z PSTRĄGĄ WĘDZONEGO NA ZIMNO

– P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

II. GaLa KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ



FINGER FOOD KARKONOSKIEJ MARKI LOKALNEJ:

PSTRĄG DYMNY W ŚNIEŻNEJ OTULINIE SEROWEJ

PSTRĄG WĘDZONY Z OGÓRKIEM I SELEREM NACIOWYM, ŚMIETANKĄ I SER, AUSTRIACKI RYBNY

PRZYSMAK LICZYRZEPY

PASZTET Z PSTRĄGĄ NA RAZOWCU, KREM CHRZANOWO-MALINOWY

GÓRSKA TERINA Z PSTRĄGĄ

PSTRĄG I ŁOSOŚ, PISTACJE, KAWIOR Z BURAKA

PIERNIKOWA FANTAZJA Z LIKIEREM KARKONOSKIM

KREM MAŚLANY, KREM PIERNIKOWY, PIERNIK, PŁATKI PIWONII

PRODUKTY KML WYKORZYSTANE DO DAŃ:

PIERNIK TRZCINSKI – SŁODKA CHATKA MARCIN GOETZ

CHLEB KARKONOSKI – PIEKARNIA „ULJANKA” URSZULA KLEIPS

PŁATKI FILETA Z PSTRĄGĄ WĘDZONEGO NA ZIMNO

– P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

LIKIER KARKONOSKI – ABDITUS SP. Z O.O.

MIÓD LEŚNY Z TERNU KARKONOSZY

– PASIEKA KARKONOSKA MAREK BARTNIK

PASZTET Z PSTRĄGĄ

– P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

PSTRĄG WĘDZONY – P.G.U.H. „SIEDLIŚKO PSTRĄGA” GRZEGORZ WOJCIK

Podczas tegorocznej Gali Karkonoskiej Marki Lokalnej spektakularną odsłonę miała prezentacja efektów specjalnego projektu edukacyjnego, zatytułowanego "Międzypokoleniowe spotkania przy stole ze zdrową i lokalną żywnością", na którego realizację LGD Partnerstwo Ducha Gór otrzymało dofinansowanie ze środków Województwa Dolnośląskiego.

Głównym założeniem projektu było zainicjowanie kontaktów między seniorami i uczniami lokalnych szkół gastronomicznych – Dolnośląskiego Zespołu Szkół w Karpaczu oraz Zespołu Szkół Technicznych i Branżowych im. Stanisława Staszica „Handlówka” w Jeleniej Górze. Zadanie obejmowało także międzypokoleniową edukację kulinarną, odkrywanie i poznawanie zdrowej, lokalnej żywności, w tym certyfikowanej Karkonoską Marką Lokalną, przez seniorów oraz młodzież szkolną. To właśnie uczniowie i nauczyciele szkół uczestniczących w realizacji projektu przygotowali do degustacji przekąski z surowców oraz produktów lokalnych, a koła gospodyń wypieki, na bazie produktów lokalnych budujących markę regionu. I tych pysznych specjałów posmakować mogli uczestnicy II. Gali Karkonoskiej Marki Lokalnej. Co znalazło się na stołach, przeczytać można obok. W kolejnych fazach realizacji projektu ujęte zostały ponadto dwa międzypokoleniowe warsztaty kulinarne, których uczestnicy poznają lokalnych rolników i producentów żywności, w tym produkty kół gospodyń wiejskich z obszaru LGD Partnerstwo Ducha Gór. Warsztaty prowadzone przez seniorki z Kół Gospodyń Wiejskich oraz seniorów – lokalnych producentów żywności, zaplanowane zostały w każdej z wymienionych szkół. To właśnie seniorzy są bowiem skarbnicą wiedzy o tradycjach kulinarnych. Program działań wzbogaciła dyskusja warsztatowa poświęcona stosowaniu lokalnych surowców i produktów w przyrządzaniu tradycyjnych potraw oraz użyciu ich w nowoczesnej i kreatywnej kuchni. Kluczowym elementem programu są też prelekcje na temat lokalnych dostawców i produktów żywnościowych, w tym surowców od miejscowych rolników oraz produktów lokalnych certyfikowanych Karkonoską Marką Lokalną. To sposób na przedstawienie ogromnego znaczenia lokalnej, zdrowej żywności i jej pozytywnego wpływu na ochronę środowiska oraz zachowania różnorodności kulinarnych tradycji i przekazania ich młodszemu pokoleniu. Bo w działaniu tym chodzi nie tylko o wspaniałe smaki i kulturowe dziedzictwo kulinarne, ale też o docenianie lokalnych rolników, krótkie łańcuchy dostaw i niski ślad węglowy przy wytwarzaniu żywności.



**DOLNY
ŚLĄSK**



Projekt pn. "Międzypokoleniowe spotkania przy stole ze zdrową i lokalną żywnością" sfinansowano ze środków Województwa Dolnośląskiego

Przejsście Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza



Zawsze w lutym, zawsze we wrześniu... Jeśli już kiedyś czytaliście materiał o Przejsciu Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza, na pewno kojarzycie to zdanie. W tym roku wrzesień nadszedł dla nas po raz dwudziesty i po raz dwudziesty uczestnicy oraz uczestniczki Przejsścia wyruszyli na trasę uczcić pamięć chłopaków, doświadczyć gór i zmierzyć się z własnymi słabościami.



Zaczął się w 2004 roku, kiedy Daniel Ważyński, ratownik w Grupie Karkonoskiej GOPR, w czasie dyżuru wpadł na pomysł obejścia Kotliny Jeleniogórskiej na piechotę. Niewiele myśląc, wraz z kolegami wyznaczyli termin i w październiku podjęli pierwszą próbę, zakończoną po 100 km z powodu kontuzji i ogólnego braku doświadczenia z tak długim wysiłkiem. Zdecydowali się przygotować i spróbować za rok. Niestety – w lutym 2005 roku Daniel wraz z Mateuszem Hryncewiczem zginął w lawinie śnieżnej w Kotle Małego Stawu w Karkonoszach. Nie dane było mu podjąć drugiej próby. Ale pomysł pozostał i jest kontynuowany co roku od dwudziestu lat. Początkowo przez innych kolegów z Grupy Karkonoskiej GOPR. Od trzeciej edycji wydarzenie zostało otwarte już dla wszystkich zainteresowanych. Obecnie co roku 500 osób rusza na trasę o długości 142 km z limitem czasu 48 godzin. Od 2015 roku odbywa się także Połowa Przejsścia, gdzie również 500 uczestników i uczestniczek mierzy się z dystansem 71 km w limicie 24 godzin. Organizatorem wydarzenia jest Fundacja Przejsście Kotliny, w której na co dzień działa 8 osób, w tym ja.

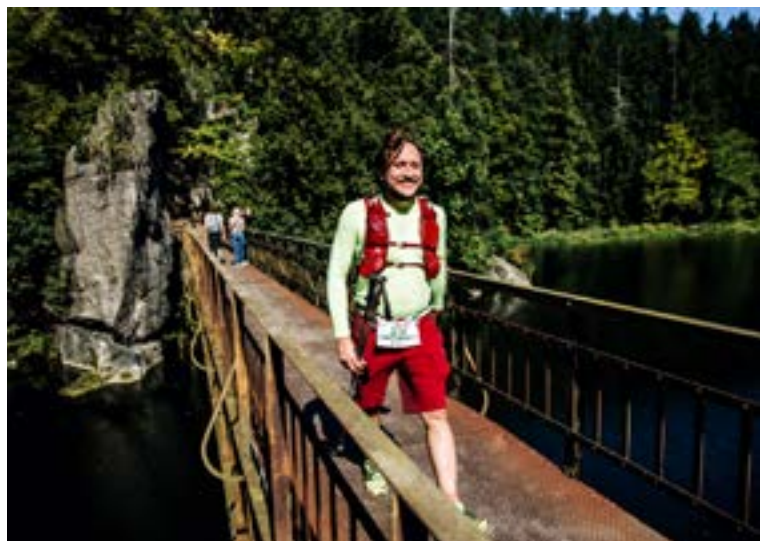
Planując XX edycję Przejsścia chcieliśmy, żeby była ona wyjątkowa. Jeśli ktoś przyjeżdża do nas od lat, pamięta edycję dziesiątą, kiedy trasa prowadziła w drugą stronę. Pamięta też starty w piątek o 20.00 i wąż świecących czołówek na grzbiecie Karkonoszy. Te opcje musieliśmy odrzucić ze



względu na regulamin Karkonoskiego Parku Narodowego i zakaz poruszania się po Parku po zmroku. Nadal szukaliśmy też czegoś, czego jeszcze nie było. Po długich dyskusjach w gronie organizatorów podjęta została decyzja o wydłużeniu trasy Przejścia o jubileuszowe 20 km (i o 10 km dla Połowy Przejścia) w rejonie Grzbietu Kamienickiego, w kierunku Świeradowa Zdroju. Obawy, czy większy dystans nie odbije się na zainteresowaniu były, ale "noc szybkich palców", czyli noc zapisów 1 czerwca 2023 r. pokazała, że poziom szaleństwa jest równie wysoki jak dystanse do przejścia. Miejsca rozeszły się w parę minut.

Następnym wyjątkowym elementem była prelekcja. Dwadzieścia lat to kawał historii, którą nie wszyscy znają i postanowiliśmy stworzyć okazję do jej opowiedzenia. W czwartek 14 września, na Peronie4 w Szklarskiej Porębie. każdy miał więc okazję posłuchać o narodzinach wydarzenia i jego rozwoju w kolejnych latach.

Zaczęliśmy częścią oficjalną, w której podziękowania skierowaliśmy do naszych partnerów i sponsorów. Gościliśmy także brata Daniela – Olafa Ważyńskiego, który odczytał publiczności swoje autorskie wiersze o tematyce górskiej. Była też kolej na wspomnienia i uśmiechy. Uczestnicy drugiego Przejścia (a pierwszego ku pamięci) – Bartosz Podkański, Maciej Kosiński, Gniewko Oblicki, Mateusz Dejnarowicz i Przemek Cwiek podzielili się ciekawostkami z ich próby podjętej w 2005 roku, kiedy tego typu „wyrpy” (i sprzęt do nich) były rzadkością i miały dopiero zyskać na popularności. Dowiedzieliśmy się dlaczego sandały stały się kultowym wątkiem obuwniczym Przejścia. Żeby dołożyć do wyjątkowości jubileuszowej pre-



lekcji, sprzęt, którym planowaliśmy nagrać wieczór, odmówił posłuszeństwa. To, co było na prelekcji, zostało w głowach słuchaczy i słuchaczek, a możemy jedynie podzielić się obrazami uchwyconymi okiem aparatu fotograficznego.

W piątkowy poranek, 15 września 2023, wreszcie nadeszło to, na co wszyscy czekali. Odprawa techniczna, minuta ciszy i moment wyruszenia na trasę. Warto wspomnieć, że minuta ciszy jest u nas prawdziwą minutą. 60 sekund przesywającej i magicznej ciszy to coś, czego warto doświadczyć i co daje siłę na ten długi marsz.

Nie będę relacjonować, co dzieje się na trasie, bo jest to bardzo indywidualne doświadczenie dla każdej osoby, która bie-





rze udział w tej próbie. Niektórzy podejmują się jej bardziej na sportowo, niektórzy turystycznie, niektórzy sami, a inni w grupie. I tutaj przypomnę, że:

Idea Przejścia jest samodzielne pokonanie trasy, nie korzystając z żadnych środków transportu, niosąc potrzebny sprzęt i żywność na własnych plecach. Poznawanie gór i podziwianie ich w trakcie marszu. Testowanie swoich granic wytrzymałości i odporności psychicznej. Praca z papierową mapą i orientacja w terenie. Brak rywalizacji i chęć poznania nowych ludzi oraz wspólna wędrówka i pomoc innym w razie potrzeby.

Na trasie jest 13 punktów kontrolnych. Dzięki nim możemy czuć nad bezpieczeństwem uczestników i uczestniczek, a oni wypatrują ich na trasie.

Gdy zbliża się limit 48, a w tym roku wyjątkowo 56 godzin, na mecie oczekujemy na ostatnich uczestników i uczestniczek. W Przejściu wyjątkowe jest to, że największe brawa dostają Ci ostatni, którzy powoli, lecz nieustannie, krok za krokiem pokonywali finalne kilometry. Wszystko kończy się bez nagród, bez miejsc i bez podium. U nas wygranym jest ten, kto podejmie próbę.

Pierwszy krok – a potem kroków milion

W głowie wiatr, a w kieszeni chęci bilion

Czy to grzmot, czy burza w Twoim sercu?

Lęk, czy szum wrześniowych łąk kobierców?

Idziesz sam, choć przecież nie samotnie

Tuzin razy umrzesz, nim odpoczniesz

To nie wyścig – mówią. Ty wiesz swoje

Opleciony czasem jak powojem

Nim godziny się położą cieniem

Wygrasz Ty – lub wygra utrudzenie

Olaf Ważyński

Tekst: **Katarzyna Kosińska**

Zdjęcia: **Fundacja Przejście Kotliny**



UltraKotlina - Bieg Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej - co roku w poszukiwaniu magii...



UltraKotlina to ultramaraton w Sudetach Zachodnich odbywający się co roku w październiku. Trasy zawodów wiodą czterema pasmami górskimi – przez Karkonosze, Rudawy Janowickie, Góry Kaczawskie i Izerskie. Impreza wywodzi się z Przejścia Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza, lecz różni się charakterem. Kiedy na Przejściu pojawiła się grupa chcąca podejść do próby na biegowo celem ścigania się i uzyskiwania coraz to bardziej wyśrubowanych wyników, postanowiliśmy rozdzielić oba wydarzenia. Teraz UltraKotlina to zawody sportowe rozgrywane na pięciu różnych dystansach. Odbywają się w tym samym pięknym regionie, co Przejście, ale w październiku i, co ważne, w klimacie rywalizacji sportowej, a nie imprezy turystycznej, jaką jest Przejście.



Inna forma to też inna grupa docelowa, a co za tym idzie – inne wyzwania. Zawodów w biegach górskich w Polsce jest dużo, więc potencjalny klient ma w czym przebierać. Zdajemy sobie z tego sprawę – z każdym rokiem staramy się podnosić jakość i poziom organizacyjny. Sami biegamy i startujemy w różnych wydarzeniach w Polsce i na świecie, więc wiemy, do czego chcemy dążyć, a czego unikać. Rokrocznie robimy co w naszej mocy, żeby wszystkie trybiki zadziałały, jak dobrze naoliwiona maszyna, a przy tak długiej i rozległej geograficznie imprezie tych trybików jest całkiem sporo. Duże wyzwanie, z jakim mierzyliśmy się w tym roku, to remont ulic w centrum Szklarskiej Poręby. Mamy nadzieję, że w kolejnych latach będziemy mogli gościć biegaczy i biegaczki w nowych okolicznościach, korzystając z nowej infrastruktury. Jednak, tegoroczna atmosfera w bazie zawodów i na mecie przy znanej nam już dobrze dolnej stacji wyciągu na Szrenicę też była wspólna.

Mamy też coś, co sprawia, że osoby, które już raz u nas wystartowały, bardzo często wracają, a my co roku podejmujemy się organizacji tego, jakby nie patrzeć, dużego przedsięwzięcia. Kotlina ma magię. To coś, co czujemy na naszych zawodach



już od paru lat. Ludzie, góry, jesienne kolory, rozgwieżdżone niebo w czasie nocnych startów, wysiłek i rywalizacja – wszystko razem tworzy tę niepowtarzalną atmosferę, która co roku przyciąga jak magnes. Do tego piękne trasy. W szczególności ta kultowego dystansu, czyli UltraKotliny 140. Prowadzi ona przez wszystkie cztery pasma górskie i, co ważne, z każdego miejsca trasy widać na horyzoncie jej drugi koniec (przy dobrej pogodzie oczywiście). Jest to niesamowite uczucie patrzeć w dal i wiedzieć, że tam będę za parę lub paręnaście godzin.

Jak już jesteśmy przy konkurencjach, warto zaznaczyć, że ciekawą opcją jest UltraKotlina Sztafeta, w której w zespole trzy- lub czteroosobowym pokonuje się trasę UK140 w czterech odcinkach. Dla osób poszukujących jeszcze dłuższej próby mamy dystans 180 km, który startuje jako pierwszy i zaczyna się 50-kilometrową pętlą z Piechowic, po Grzbiecie Kamienickim Gór Izerskich do Świeradowa Zdroju i wraca do Szklarskiej Poręby, żeby na podejściu na Kamieńczyk dołączyć do trasy UK140. Krótsze dystanse, czyli 80 km z Janowic Wielkich, 50 km z Jeleniej Góry i 30 km z Piechowic również pokazują piękno Kotliny, a ich trasy wiodą przez Góry Kaczawskie i Izerskie z widokiem na Karkonosze. Jednym słowem – wybór konkurencji jest spory zarówno dla osób doświadczonych, jaki i nowych w bieganiu ultra. Od kilku edycji widzimy wzrost poziomu sportowego, padają kolejne rekordy tras i rośnie rywalizacja. Bardzo nas to cieszy. Co nie znaczy jednak, że aby u nas startować trzeba biegać w zawrotnym tempie – utrzymujemy limity, które pozwalają na pokonywanie dystansu na spokojnie, ciesząc się każdym kilometrem.

Nieoczywiste i warte zauważenia jest również to, że nasze trasy przebiegają przez wszystkie gminy powiatu karkonoskiego i sześć nadleśnictw. Co roku współpracujemy organizacyjnie i sprzętowo, i cieszymy się, że możemy angażować lokalne społeczności w to nasze duże święto biegania. Mówiąc o zaangażowaniu, nie sposób nie wspomnieć o naszych pracownikach i wolontariuszach. W czasie wydarzenia pracuje prawie 200 osób. Wydają pakiety, znakują trasę, witają ludzi na punktach, nalewają picie i służą dobrym słowem. Są twarzą imprezy i od wielu edycji ich chęć pomocy, doping oraz profesjonalizm są naszą najlepszą wizytówką.





UltraKotlina i Przejście Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej, mimo wspólnych początków, to już zupełnie inne wydarzenia. Można się zastanawiać, czy mają jeszcze jakieś części wspólne. Organizatora i wolontariuszy na pewno. Są też osoby, które biorą udział w obu imprezach. W Przejściu z pobudek bardziej duchowych i doświadczenia spokojnego marszu, a w UltraKotlinie w pogoni za emocjami płynącymi z rywalizacji. Na pewno oba są warte przeżycia.

Tekst: **Katarzyna Kozińska**

Zdjęcia: **Fundacja Przejście Kotliny**







Beata od aniołów karkonoskich

Anioły Staroskrzydłe, Anioły Kieszonkowe, Anioły Bose, Anioły Róż(love), Anioły Nieoczywiste to najbardziej znane drewniane serie, które stworzyła Beata Makutynowicz. Anielskie tematy od lat dominują w jej twórczości. „Anioły dają mi poczucie sprawczości, uspokajają, uskrzydłają” – wyjaśnia artystka z Karpacza.

Jej prace można było spotkać m.in. na wystawach w Muzeum Zabawek w Karpaczu, w Zatoniu, gdzie wystawę organizowała Fundacja Ogrody Kultury oraz Zielonogórski Ośrodek Kultury, w Książnicy Karkonoskiej w Jeleniej Górze czy w Bibliotece Miejskiej w Złotoryi, gdzie gościły już czterokrotnie. Charakterystyczne postacie aniołów ze starych desek, o tajemniczych, nieco abstrakcyjnych twarzach, są znakiem rozpoznawczym stylu artystki – jej autorskim pomysłem na lokalną twórczość w Karkonoszach.

Anielska Marka Lokalna

Certyfikat Karkonoskiej Marki Lokalnej „Skarby Ducha Gór” posiada wiele produktów Beaty Makutynowicz: Karkonoskie Anioły Staroskrzydłe, Bose Anioły z Karpacza, Karkonik, Drewniaszek, Karkonoskie Fragmenty, czyli Chatki Beatki. Zostały uhonorowane i docenione w kategorii rzemiosło w 2014 r., na samym początku istnienia Karkonoskiej Marki Lokalnej.



Fot. Rafał Kotylik



Fot. Rafał Kotylik

Artystce, od lat mieszkającej w górskiej miejscowości turystycznej, bardzo zależało na takich prawdziwych pamiątkach z Karkonoszy. Wykonanych przez miejscowych artystów, dodatkowo z materiałów pozyskanych na tym terenie. Stąd wziął się pomysł na wykorzystanie starych desek z rozbiórek domów, zabytkowych elementów. „Moja twórczość jest oparta na starych deskach” – wyjaśnia artystka. Fascynacja starym drewnem jest w niej od dawna, to wspomnienie rodzinnych stron, jezior i letniego słońca. Artystka często podkreśla swoje mazursko – warmińskie korzenie:

– Stare drewno kojarzy mi się z ciepłem, domem, ze stodołą nieopodal jeziora, w której przesiadywałam w dzieciństwie.

Fascynuje ją barwa starych desek, ich struktura, zapach, a także historia. Jedne z pierwszych „historycznych” desek pochodziły z okolic Wieży Książęcej w Siedlęcinie. Raz zdarzył się też wielki rarytas – kawałek małej belki z Zamku Chojnik, który traktowała jak relikwię, tnąc go na małe kawałeczki, aby wykorzystać surowiec jak najpełniej. Pierwsze anioły staroskrzydłe miały korpus z nowych desek, a skrzydła ze starych – stąd ich nazwa. Do wiekowych desek artystka podchodzi z szacunkiem, bo, jej zdaniem, one mają moc. Mają też stare, kute i zardzewiałe gwoździe, które tylko zabezpiecza i nie wyciąga. Mają stare farby – czasami kilkanaście warstw, które Beata Makutynowicz tylko lekko szlifuje, ukazując paletę użytych wcześniej barw.

– Staram się jak najmniej ingerować w drewno, zależy mi, żeby uwydatnić deseń, naturalną strukturę, kolorystykę – opowiada artystka.

Na początku realizacji swojego artystycznego projektu Makutynowicz miała problem ze zdobyciem starych desek. Nie



wiedziała, skąd mogłaby je pozyskiwać. Potem jednak wieść o artystce wykonującej anioły z rozbiórkowego drewna, rozszła się po okolicy i pani Beata zaczęła otrzymywać informacje, skąd je może zabrać. Niektórzy przechowywali dla niej deski do odbioru czasami miesiącami. Teraz w sprawie materiału do swojej twórczości jest bardzo wybredna. Deski muszą pochodzić z bardzo ciekawego miejsca – najlepiej historycznego albo mieć intrygującą strukturę.

– Wieloma rzeczami rządzi przypadek i ja ten przypadek wykorzystuję w swojej pracy. Materia niejako sama podpowiada mi pomysł – zdradza tajemnice tworzenia autorka anielskich prac.

Anioły tworzone w Karkonoszach, z karkonoskich desek, przez mieszkającą w Karkonoszach artystkę mają charakterystyczne twarze:

– Wybrany przez mnie temat aniołów pozwala mi malować twarze takie, jakie chcę. Nie muszę przestrzegać reguł, mogę je przełamywać, tworząc abstrakcję. Nie muszę trzymać się rzeczywistości. Chodzi o to, aby to współgrało ze mną. Beata od aniołów – tak o mnie mówią.

Pracownia aniołów

Otwarta Pracownia Makutynowicz. Art – to oficjalna nazwa tego miejsca. Działa dopiero od kilku miesięcy, ale już wzbudza ciekawość przechodniów oraz pasażerów przejeżdżających samochodów. Usytuowana przy głównej drodze wjazdowej do Karpacza, przyciąga uwagę witryną, donicami z kwiatami i ogromnym szyldem. Niektórzy zawracają z drogi zaintrygowani tym, co im w drodze mignęło przed oczami.

Pracownia jest otwarta w sensie dosłownym oraz metaforycznym. Otwarta na różne działania artystyczne, przystępna, twórcza, pełna pomysłów. Takie miejsce artystka zaprojektowała sobie w głowie już wiele lat temu. Pomysł udało się jej zrealizować dzięki dotacji z Lokalnej Grupy Działania „Partnerstwo Ducha Gór”. Przyznane środki zostały przeznaczone na remont, fotowoltaikę oraz kilka kluczowych maszyn, niezbędnych do tworzenia własnych aniołów oraz tych na warsztatach. Teraz artystka ma miejsce, w którym może się twórczo rozwijać i zatracić, bo uwielbia tu spędzać czas. Pomieszczenie jest pomyślane jako galeria i warsztat.

Zaraz przy wejściu przykuwają wzrok różnorodne prace Beaty Makutynowicz, które przekrojowo prezentują jej fascynację i drogę artystyczną. Są tu obrazy olejne, grafiki, różne serie anielskie o rozmaitych wielkościach. Anioły, aniołki, aniołeczki. Są też urocze bibelotki – drewniane serduszką, magnesy. Cieszą oko ręcznie malowane kartki, maluteńkie domki, koniki, serduszką, breloczki. Do wyboru, do koloru. Na każdą kieszeń. Taki był też cel artystki, aby turyści, przyjezdni oraz mieszkańcy nie bali się tutaj wchodzić z obawy przed cenami. Część galeryjna posiada również wygodne fotele i stolik. Można usiąść, pooglądać, odpocząć, przejrzeć i poczytać katalogi powystawowe i kolorowe czasopisma. Jest przyjaźnie, artystycznie i swojsko-karkonosko.

Obydwa obszary pracowni przenikają się, ale część warsztatowa wyróżnia się typowym, roboczym charakterem. Stoją tu maszyny. Jest też pomieszczenie gospodarcze, dzięki któremu jest również domowo, herbaciano-kawowo i pachnąco, bo Beata piecze owoce dla swoich warsztatowych gości. Ale to maszyny są najważniejsze, bo dzięki nim pracownia może działać, a warsztaty mogą się rozwijać.





Beata Makutynowicz wszystko wykonuje sama. To połączenie zmysłu artystycznego z umiłowaniem do majsterkowania, do pracy fizycznej. Stąd w warsztacie artystki profesjonalna wyrzynarka włosowa do drewna, piła taśmowa, elektronarzędzia z górnej półki – co sama podkreśla – oraz szlifierka taśmowa. Pomimo artystycznej duszy Makutynowicz bardzo lubi pracować z maszynami.



– Sama chcę ciąć, sama chcę szlifować deski. Nie chcę zlecać komuś, czekać. Moim celem jest to, aby kobiety na warsztatach oswoić z maszynami. Wiertarka, wyrzynarka, to są przyjemne maszyny – przekonuje Beata, z dumą prezentując wyposażenie części warsztatowej swojej pracowni. I jeszcze jedna ważna rzecz dla artystki – wszystko powinno być jak najbardziej ekologiczne. Warsztaty muszą być jak najbardziej naturalne, aby nie zanieczyszczały środowiska, zakupy dokonywane w pracowni także. Sprzedawane przedmioty artystka pakuje w przeczytane kolorowe gazety lub szary papier.

Warsztaty z aniołami

Odkąd z dotacji powstała pracownia, odbywają się w niej coraz częściej warsztaty. Takie było od lat marzenie Beaty Makutynowicz. I chociaż prowadziła i prowadzi warsztaty w różnych lokalizacjach, najbardziej jej zależy, żeby one odbywały się przede wszystkim u niej, bo teraz ma już na to miejsce. Wyremontowany lokal wabi kolorami oraz przedmiotami stworzonymi lub zaaranżowanymi przez artystkę. Chciała, żeby było to miejsce przyjazne, ciepłe, bezpieczne – i takie jest.

Klimat warsztatów tworzy miejsce, artystka oraz uczestniczki artystycznych spotkań. Niektóre z nich przyjeżdżają na te spotkania wielokrotnie.

– Ja jestem tu już czwarty raz – wyjaśnia energiczna i uśmiechnięta Kasia. – Szkoda, że nie ma z nami dzisiaj pani Iwonki ze Ściegien. To jest weteranka, która brała udział w warsztatach już z 10 razy – dodaje. Sama przychodzi na warsztaty, żeby się zrelaksować. Dla Małgosi uczestnictwo w warsztatach to przyjemność tworzenia pięknych przedmiotów. Asia chce pod okiem Beaty wrócić do malowania, nauczyć się malować twarze, a Agnieszka, pragnie mieć w domu odnalezioną i stworzoną tutaj część siebie. Wszystkie uczestniczki podkreślają inspirujący i magiczny wymiar spędzonego wspólnie czasu. Artystka jest w swoim żywiole pracy w grupie i z grupą.

– Sztuka pomaga mi być lepszym człowiekiem. Dla mnie to podwójna radość móc dzielić się swoimi umiejętnościami. Wcześniej, w pracowni ulokowanej w domu, byłam sama. Teraz mogę pracować z ludźmi w takiej bezpiecznej przestrzeni, którą tutaj stworzyłam. Na warsztaty zgłaszają się przede wszystkim kobiety. Mężczyźni, jak dotąd, nie byli zainteresowani wykonywaniem aniołków według konceptu Beaty Makutynowicz.

Jak zrobić aniołka śpiącego?

– Proszę założyć fartuszek – komenderuje Beata, podając mi kolorowy i obowiązkowy strój warsztatowy. Wszystkie siedzimy w fartuszkach – każda w innym. Tematem dzisiejszych warsztatów jest śpiący, drzemiący aniołek.

Makutynowicz na swoich warsztatach pracuje na nowych sklejkach drewnianych, nie na starych, cennych deskach. To daje swobodę eksperymentowania, pomyłek, powtórek. Część elementów anielskich dla uczestniczek jest już wyciętych:

– Wybierz sobie tułów – zachęca Beata. – Ja wam jeszcze zaraz nogi utnę – oznajmia – i staje za wyrzynarką marki „Pegasus”. Charakterystyczny odgłos maszyny wypełnia pracownię. Za chwilę nogi dla aniołków są już gotowe. – Dobra, dziewczyny, zaczynamy – mobilizuje wstępne rozgadanie uczestniczek warsztatów.

Pogaduszki były tylko przez kilka pierwszych minut wspólnego spotkania. Potem w ciszy i skupieniu pracujemy. Każda nad swoim projektem, pod czujnym okiem Beaty. Same musimy wybrać elementy, z których będzie się składał aniołek. Głowa, czapeczka, tułów, nogi. Za chwilę dojdą ręce i skrzydła w kształcie serca. Same musimy wymyślić kolorystykę i wzornictwo na nóżkach, rajstopkach i sukienkach. Beata podpowiada technikę mieszania farb poprzez pocieranie korpusu kulistymi ruchami na paletkach:

– Musisz poczuć, jaki kolor będzie tobie pasował – zachęty prowadzącej zajęcia dodają odwagi. Efekty kolorowania korpusów są zachwycające. Teraz poznajemy arkana malowania nóżek. Najpierw obrys ciemniejszą farbą, potem dopiero kolorowe wypełnienie. Artystka zachęca nas do stworzenia swoich projektów rączek, pokazuje możliwości ich ułożenia.





Stałe bywalczyńskie warsztatów przyszły tu już z obmyśloną koncepcją i przynoszą swoje akcesoria: kawałki materiału na sukienkę, guziczki, sznureczki. Wiedzą dokładnie, czego chcą. Dla mnie to pierwsze warsztaty – dopiero stawiam pierwsze kroki w anielskim fachu.

W pracowni panuje cisza przerywana pracą wyrzynarki, wiertarki lub innych maszyn. Wszystkie w skupieniu malujemy akrylami swoje części aniołków.

– Wody używajcie minimalnie. Tu są ściereczki do wycierania farb z pędzelków – tłumaczy Beata. A za chwilę znowu staje przy swoich maszynach i wyrzyna kolejne rączki i serca.

– Teraz, jak mam taką fajną maszynę, to mogę Wam ciąć wszystko, co tylko chcecie – oznajmia. Każda z nas dostaje swoje elementy wyciętych rączek i skrzydeł. Trzeba je pomalować. Powoli wyłaniają się efekty pracy każdej z nas. Słychać ochy i achy. Praca warsztatowa pochłania nas całkowicie.

Nadchodzi najbardziej precyzyjna i najtrudniejsza czynność warsztatów – malowanie buźki aniołka. Najpierw trzeba dobrać kolor do jego twarzy, potem najcieńszym pędzelkiem zrobić oczy, nos, usta. Uff, jak ręce się trzęsą. Mam to. Jestem nawet zadowolona ze swojej buźki – farba się nie rozlała. Okazuje się, że nieco wyprzedziłam koleżanki, które dopiero malują skrzydła lub kończą projekt rączek. Po wyschnięciu farby na moim aniołku zabieram się do klejenia poszczególnych części. Czapeczkę kleję z główką, rączki i nóżki z korpu-

sem. Beata próbuje mnie namówić do pracy z wiertarką. Głowę z korpusem ma połączyć szyją, czyli cieniutki patyczek. Trzeba zrobić dziurkę w główce i tułowiu. Beata zachęca, pokazuje. Ja jednak rezygnuję, bo obawiam się, że zniszczę mojego aniołka. To już prawie koniec. Jeszcze tylko trzeba zrobić włosy ze sznurka i przykleić je. Będą białe z fantazyjnymi różowymi końcówkami – tak sobie wymyśliłam.

Przeglądam się pracom koleżanek. Każdy aniołek jest inny. Proces twórczy uwolnił fantazję i odwagę do eksperymentowania. Widać wypieki na twarzach, emocje, skupienie. Gospodyni pracowni proponuje herbatę, ale jak tu się oderwać od tak pasjonującego zajęcia? Beata pochyla się nad każdą z uczestniczek, tłumaczy, ośmiela, doradza. Maszyny hałasują. To już ostatnie poprawki, włosy mojego aniołka zostają przyklejone.

I jest gotowy mój aniołek śpiący, aniołek drzemący w cukierkowych, różowo-niebieskich barwach. Mój anielski debiut uznaję za sukces. Trzy godziny warsztatów minęły jak okamgnienie. Zupełnie straciłam poczucie czasu. Zbieram się do wyjścia, delikatnie układając mojego aniołka w torebce. Dziewczyny jeszcze dopieszczają ostatnie detale swoich prac. Wyjeżdżam z Karpacza pełna nowych wrażeń i z postanowieniem, że to nie będzie koniec mojej artystycznej przygody z Beatą od aniołów.

Tekst i zdjęcia z warsztatów: **Joanna Cychol**



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: „Europa inwestująca w obszary wiejskie”.



Janowickie opowieści



Otwieramy kapsułę czasu. Zaglądamy do rodzinnych albumów, sięgamy do domowych wspomnień i rozmów z sąsiadami. Odkurzamy zapomniane pamiątki z przeszłości. W Janowicach Wielkich powstaje niezwyczajna „księga” pamięci, do której zajrzeć można w każdej chwili i umieścić w niej swoją opowieść o czasach, miejscach, ludziach i wydarzeniach, jakich było się świadkiem albo dotknęło wspomnieniem bliskich opowiadających swoje historie. Czerpiemy z rosnących stale zasobów cyfrowego Archiwum Społecznego Gminy Janowice Wielkie, powstającego dzięki wielkiemu zaangażowaniu mieszkańców okolicy. Osób prywatnych, organizacji, instytucji, firm, grup formalnych i nieformalnych. Do tej skarbnicy wiedzy sięgnąć można odwiedzając stronę internetową janowickieopowiesci.pl. Wydane niedawno drukiem w niewielkim nakładzie „Janowickie opowieści” rozeszły się błyskawicznie w najbliższej tylko okolicy. Jest szansa na dodruk pożądanego przez wielu wydawnictwa w 2024 r. Póki co, na stronach naszego magazynu przywołujemy i utrwalamy kolejne wybrane wspomnienia, dając im nowe życie. Zapisujemy czas. Zapamiętujemy miejsca.

Dwór, dawny dom dziecka w Radomierzu

Pierwsze wzmianki o obiekcie to dokument z 1372 r., który wspomina o właścicielu wsi, rycerzu Clericusie Boltze. Otrzymał Radomierz wraz z dobrami lennymi należącymi do zamku Sokolec od Agnieszki Świdnickiej. W wiekach kolejnych dobra przechodziły parokrotnie w ręce wielu rodzin, m.in. Reymbabe, Wiltberg, Schindel, Nimptsch.

Na początku XVI w. wsią zaczęli rządzić Schaffgotschowie, z przerwami do połowy XVII w. Prawdopodobnie byli fundatorami dworu, który wzniesiono ok. połowy XVI w. Około roku 1650 właścicielami posiadłości były rodziny Benchel i Vechtritz, którzy posiadali dwór do 1876 r. Po pożarze w roku 1776 obiekt przebudowano. Na początku XX w. majątek kupił Bruno Kaffler, który prawdopodobnie był zleceniodawcą ostatniej przebudowy dworu – obniżenia górnej kondygnacji i wymiany nadokienników.

Pierwotnie dwór otoczony był fosą. Obiekt założony na planie prostokąta, z dwoma 1-kondygnacyjnymi cylindrycznymi alkierzami w narożu południowo-zachodnim. Dwór pokryty jest dachem 2-spadowym. Na osi fasady charakterystyczny portal. Otwory okienne ujęte w renesansowe ramy. Do dzisiejszych czasów zachowały się sklepienia krzyżowe na parterze.

Od roku 1917 w budynku mieścił się dom dziecka, a w późniejszym okresie właścicielem był fabrykant, do którego należały okoliczne fabryki papieru.

Okres powojenny również nie był korzystny dla obiektu, postępowała jego dewastacja. Obecnie dwór jest w rękach prywatnych, właściciel poczynił kilka remontów, ale niestety obiekt nie jest dostępny dla turystów.

Tekst: **Krzysztof Zawadzki**, na podstawie wywiadu z **Bogusławem Kaniewskim**

Zdjęcia z pocz. XX w. udostępnione przez obecnego właściciela Bogusława Kaniewskiego

Zdjęcie współczesne: **Krzysztof Zawadzki**







Ośrodek zdrowia i porodówka w Janowicach Wielkich

Trudno uwierzyć, że w Janowicach Wielkich, w latach powojennych do 1963 r. była porodówka i sale szpitalne. Porodówka mieściła się w domu przy ul. Wojska Polskiego 2, na piętrze, a na parterze domu mieszkał lekarz. Natomiast Gminny Ośrodek Zdrowia znajdował się w pięknej willi obok, przy ul. Wojska Polskiego 3. Na pierwszym piętrze ośrodka zdrowia znajdowały się trzy sale szpitalne. Pacjentom udzielana była pomoc najpierw w ośrodku, a w razie potrzeby wożono ich do szpitala w Jeleniej Górze. Gdy została zlikwidowana porodówka, zlikwidowano również sale szpitalne, a te pomieszczenia przeznaczono na inne cele: gabinet ginekologiczny, do badania dzieci i szczepień, pokój pracownika pomocy społecznej i szatnię pracowników ośrodka. Przez kilka lat w ośrodku była karetka pogotowia, którą przewożono chorych, a pielęgniarki i lekarze jeździli na wizyty do niemowląt i chorych. Na parterze budynku przyjmował dentysta.

Następnie został wybudowany nowy ośrodek PHARMED Centrum Medyczne, przy tej samej ulicy, ale pod innym numerem: 16, bliżej Dworca PKP. Budynki przy ul. Wojska Polskiego 2 i 3 obecnie należą do prywatnych właścicieli, m.in. byłych lekarzy Dawidowicz.

Urodziłam się w Janowicach Wielkich, na porodówce, przy ul. Wojska Polskiego. Pewnie nie wszyscy wiedzą, że po wojnie w budynku, w którym w tej chwili mieszkają państwo Dawidowiczowie, była porodówka na pierwszym piętrze. Na dole mieszkał lekarz, pan Siuta. I tam wielu ludzi się urodziło, starszych wiekowo. Porodówka była do 1963 r. Obok był ośrodek zdrowia. W tym budynku, na pierwszym piętrze były sale, tak jakby szpitalne.

Na dole były przychodnie i przyjmował lekarz. Jak pamiętam, to w ośrodku zdrowia przyjmował pan Siuta. Później po nim przyszło małżeństwo – państwo Wilczyńscy. Ona była pediatrą, on – lekarzem ogólnym. Później pojawili się państwo Dawidowiczowie, ona była pediatrą, a on lekarzem ogólnym. Jak odeszli, to prywatna przychodnia z Jeleniej Góry otworzyła tutaj swój oddział. Po jakimś czasie została wybudowana nowa przychodnia, kawałek dalej, przy tej samej ulicy.

Grażyna Krawiec





Tekst: **Dorota Goetz**, na podstawie wywiadu z **Grażyną Krawiec**
 Zdjęcia z lat 50. XX w. udostępnione przez **Mirosława Szajwaja**
 Zdjęcia współczesne Ośrodka Zdrowia: **Marek Janicki**



Miejsca nieoczywiste: Grabowiec a Święty Graal

Idąc za słowami encyklopedii: Święty Graal to tajemniczy kielich występujący w legendach arturiańskich. W niektórych przekazach kielichem tym posłużył się Jezus Chrystus w czasie Ostatniej Wieczerzy, zaś później użyty był przez Józefa z Arymatei do zebrania krwi Jezusa po ukrzyżowaniu. Jaki zatem związek ma Święty Graal z Grabowcem? Spróbujemy na to pytanie odpowiedzieć, ale trochę później. Teraz wyjaśnijmy, czym ów Grabowiec jest.

Z języka niemieckiego Gräber Berg, Kräberberg, również Kräbenberg, to góra wznosząca się na wysokości 784 m n.p.m. w obrębie Pogórza Karkonoskiego.

Grabowiec zbudowany jest z granitu karkonoskiego w odmianie porfirowatej, z żyłami porfiru. Pod szczytem i na zboczach można znaleźć liczne, malowniczo położone skałki, a także większe bloki skalne. Najokazalsze to: Mała, Ostra i Patelnia.

Ostatnia z nich, w formie płaskiego bloku o wysokości około 10 metrów, dostępnego wykutymi w skale schodkami, stanowi punkt widokowy na Karkonosze, Góry i Pogórze Izerskie oraz Góry Kaczawskie. Na skałkach można czasem spotkać kociołki wietrzeniowe, zaś na zachodnim zboczu Grabowca znajduje się kaplica św. Anny wraz z Dobrym Źródłem.

Niezwykle tajemniczo brzmi dawna nazwa góry – Gräber Berg, czyli Grobowa Góra. Od lat wokół Grabowca krążą legendy i historie zaliczane do tych z gatunku grozy i niesamowitości.

Niektóre źródła historyczne podają, że jej dawna nazwa związana jest z dawnym miejscem kultu przedchrześcijańskiego. Według niektórych źródeł miał być to kult lunnarny, ale ze względu na szczątkowe i być może jeszcze nie odkryte informacje niewiele o tym miejscu wiadomo.

Inne źródła mówią o wykopaliskach archeologicznych i odkryciu rzekomego toporka kultowego z okresu neolitu. Kiedy dokładnie takie badania miałyby się odbyć i gdzie znajduje się ów toporek, tego już nie wiadomo.

Większość informacji należałoby przesiać przez gęste sito. Większość tych niesamowitych opowieści podsycana była w celu przyciągnięcia turystów, zwłaszcza w dobie romantyzmu, kiedy na turystykę zapanował w Karkonoszach prawdziwy boom.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Grabowiec do dziś uważany jest za jedną z najbardziej tajemniczych gór w okolicy. Poło-



żony blisko Karpacza, ale z dala od utartych szlaków, pełen leśnych ścieżek zakamarków i osobliwości, rozbudza wyobraźnię, tworząc specyficzny klimat zwłaszcza wśród zwolenników przeróżnych teorii spiskowych.

Zanim przejdziemy do nieoczywistości tej góry, na początku warto opowiedzieć o tym, co widać. A widać sporo, zwłaszcza gdy zostawimy samochód na przydrożnym parkingu pomiędzy Karpaczem Górnym a Sosnowką i wejdziemy na szlak niebieski, który drogą asfaltową doprowadzi nas bezpośrednio pod kaplicę św. Anny.

Zanim dojdziemy na miejsce, czasem warto zejść ze szlaku i porozglądać się uważnie wokół granitowych głazów i skałek. Na niektórych dostrzec można ryte podwójne krzyże będące w przeszłości prawdopodobnie krzyżami granicznymi majątków bądź działów leśnych albo działek górniczych.

Kiedy już dojdziemy do kaplicy św. Anny, zauważymy, że przy tej niewielkiej świątyni znajdują się jeszcze inne obiekty, w tym Gospoda przy Dobrym Źródle, która może być jednym z przystanków na trasie wokół Grabowca.

Historia budynku sięga co najmniej XIX wieku. Dawna gospoda słynęła niegdyś z wybornych pstrągów, a jej specjalnością była pieczeń z zającą ze smażonymi rydzami i nalewką z derenia. Było to również miejsce, gdzie można było wynająć przewodnika, lektykarzy, a nawet wierzchowca. Dziś również znajduje się tam wyborna kuchnia, klimatycznie urządzone wnętrza i taras widokowy, z którego możemy podziwiać malownicze zachody słońca.



Najstarszym obiektem jest położona tuż obok kaplica św. Anny. Pierwszą drewnianą kaplicę postawiono tuż przy dzisiejszym Dobrym Źródle, na początku XIII. Obok kaplicy przechodzi fragment żółtego szlaku prowadzącego od Pogańskiej Doliny do Dobrego Źródła, zwanej dziś Babią Ścieżką lub Ścieżką Czarownic i nawiązującą do historii związanych z dawnym ośrodkiem kultu przedchrześcijańskiego.

Pierwsza wzmianka o kaplicy pochodzi z kroniki parafii z Sobieszowa – dzisiejszej dzielnicy Jeleniej Góry – i sięga roku 1212. Kaplicą początkowo opiekowali się cieplnicy joannici, a obiekt utrzymywano dzięki funduszom księcia świdnicko-jaworskiego Bolka II.



Średniowieczna budowla została zniszczona podczas wojen husyckich. Odbudował ją w XV wieku Friedrich Liebenenthal z Sosnowki, wraz z braćmi Melke oraz z Konradem von Schaffgotsch z pobliskiego Podgórzyna. Kaplica doznała niestety kolejnych zniszczeń w czasie wojny trzydziestoletniej.

Obecna murowana kaplica została ufundowana przez hrabiego Hansa Antona von Schaffgotsch z Cieplic. Jej budowę rozpoczęto w 1718 a zakończono rok później. Projektantem i budowniczym był Casper Anton Joseph Jentsch.



W 1812 do kaplicy sprowadzono z kaplicy św. Wawrzyńca na Śnieżce barokowy ołtarz z rzeźbą świętego Wawrzyńca oraz część wyposażenia.

Po II wojnie światowej kaplica popadła w zapomnienie. W niewyjaśnionych okolicznościach zaginął barokowy obraz z ołtarza głównego, namalowany na miedzianej blasze przez ucznia Michaela Leopolda Willmanna. Odnalazł się dopiero po wielu latach i powrócił na swoje miejsce w 2006. Okazało się, że w pierwszej połowie XX wieku, w celu konserwacji obraz zabrano do Torunia. Dziś w ołtarzu głównym znajduje się obraz przedstawiający patronkę św. Annę z Jezusem, Marią i stojącym za nimi Józefem. Jest tu też ambona i dwa ołtarze boczne oraz figura św. Wawrzyńca.

Ciekawostką jest to, że ołtarz stoi bezpośrednio nad źródłem, a lekko mineralizowana woda o słabej radoczynności odprowadzana jest na zewnątrz kapliczki specjalnym kanałem. Obrazy do kaplicy malowano na miedzianej blasze ze względu na znajdujący się w źródlanej wodzie radon, który powodował zanikanie farb na płóciennych obrazach, co przypisywano wcześniej zbezczeszczeniu miejsca kultu przedchrześcijańskiego i określano jako zemstę pogan.

Przy kaplicy znajduje się ujęcie wody ze źródła, pod którym można przeczytać napis: „Der gute Born” - Dobre Źródło, a po jego obydwu stronach widnieją napisy: „1212 wurde diese heilkraftige Quelle erwähnt” - w 1212 było wspomniane święte i lecznicze źródło – oraz: 1920 neu gefasst durch Reichsgrafen Schaffgotsch – w 1920 odnowił je hrabia Schaffgotsch.



Według różnych niepotwierdzonych opowieści woda z Dobrego Źródła miała służyć do obrządków pogańskich, ale traktujemy to, przynajmniej na razie, wyłącznie jako legendę.

Warto zwrócić uwagę na dość charakterystyczny budynek położony nieco w głębi, obok kaplicy. To właśnie tam zaczyna się historia nawiązująca do Świętego Graala, może nie bezpośrednio do jego fizycznej obecności, ale z pewnością do związanej z nim pewnej formy kultu.





Wszystko miało się zacząć jeszcze w latach osiemdziesiątych XX w., gdy Świętym Graalem okazała się grupa młodych kobiet. Dziewczyn raczej, którym przewodziła lokalna zielarka, nazywana przez miejscowych wiedźmą. Czy słusznie? W czasach gdy w budynku działała tajemnicza sekta, spacerując leśnymi szlakami, czy ścieżkami, można było natknąć się na niewielką grupę kobiet, ubranych w długie, powłóczyste suknie i z uplecionymi z kwiatów wiankami na głowach.

Na szczycie Grabowca stała niegdyś służąca im altana, otoczona kępami pielęgnowanej trawy. Na środku polany znajdowały się trzy naturalnej wielkości drewniane rzeźby, zwrócone frontem na południe. Pierwsza z nich przedstawiała ukrzyżowanego Chrystusa. Obok, po lewej stronie, była niewiasta z patetycznie wysuniętą ręką, trzymającą w dłoni kielich, z którego zwisały paciorki z zasuszonych owoców kaliny – aluzja nawiązująca do przelewających się z kielicha kropel krwi. Po prawej stronie stała druga niewiasta. Jeśli pierwszą można było określić Maryją, druga mogła być zarówno Magdaleną, jak i Weroniką. Figury otoczone były kwietnikiem ozdobionym naturalnymi i sztucznymi kwiatami, a przy nim znajdowały się ogarki świec – być może świadectwo tego, że coś działo się tutaj w nocy.

Spotkane na szlaku bądź szczycie dziewczęta wręczały przypadkowym turystom niewielkie modlitewniki, zapraszając na wspólną modlitwę. Czasem można było też spotkać inicjatorkę całego przedsięwzięcia, która w rzeczywistości wcale nie okazywała się straszną czarownicą, jak przedstawiali ją niektórzy miejscowi. Opowiadała czasem, że wybór miejsca nie był przypadkowy, że wciąż z góry emanuje wielka moc.

Grupa była jednak dość hermetyczna, a całego przybytku pilnowało wysokie ogrodzenie i wielkie psy. Trwało to jeszcze do lat dziewięćdziesiątych i rozplynęło się nie wiadomo kiedy jak we mgle, pozostawiając wiele krążących wokół sekty Świętego Graala legend i opowieści.

Drugim szczególnym miejscem mocy na Grabowcu jest skała Patelnia, na której znajduje się punkt widokowy. To właśnie tam według różnych teorii jest trzeci pod względem mocy w Polsce czakram. Ze skałki rozciąga się panorama na prawie całą Kotlinę Jeleniogórską i niewątpliwie coś w tym miejscu jest szczególnego, gdy możemy po rostu usiąść i zapomnieć na chwilę o codzienności życia, zauroczeni rozciągającym wokół krajobrazem.

Nie zabraknie też czegoś dla miłośników ukrytych skarbów, bo przecież wokół znajdują się dawne wyrobiska i sztolnie. I choć ich przeznaczenie zostało już dawno wyjaśnione, to wciąż potrafią rozpalić wyobraźnię.

Czy Grabowiec jest miejscem niezwykłym? Z pewnością tak. Ta niezwykłość polega na tym, że wciąż jest nieodkryty i nie zdeptany do nieprzytomności przez turystów, mimo że położony tak blisko Karpacza.

Dla dociekliwych – o tajemnicach Grabowca można się jeszcze więcej dowiedzieć podczas wieczornych spacerów z lampami naftowymi organizowanymi przez Sudecką Krajinę.

Tekst i zdjęcia: **Jarosław Szczyżowski**



Jak wygrano wojnę o las

Gdy przyjechała w nasze strony w 1984 roku z Borów Tucholskich, chciała stąd jak najprędzej uciekać! To był czas klęski ekologicznej w Karkonoszach i Górach Izerskich. Nasz region nazywany był trafnie "Czarnym Trójkątem". Dziś Zyta Bałazy, spoglądając przez okno swego pięknego domu w Piechowicach, zachwyca się i stwierdza z dumą: Udało się! Odbudowaliśmy las!

– Znalazłam się tutaj za sprawą małżonka, który zaangażował się w pierwszą, prawdziwą Solidarność, a gdy wyszedł z wojska, okazało się, że nie ma dla niego miejsca w lasach, bo uznany został za wywrotowca. Gdzie szukać pracy? Tam, gdzie moje serce i korzenie – pomyślał mąż. Przywiózł mnie w Karkonosze i Góry Izerskie. Mąż pochodzi z Wałbrzycha, a więc blisko. Kiedy zobaczyłam te martwe drzewostany, zdrewniałam i pomyślałam, że nie ma nadziei na to, że kiedyś tu będzie zielono. Gdy zamieranie lasów na tym terenie ujrzało światło dzienne, za sprawą amerykańskich zdjęć satelitarnych, nasi przełożeni mówili, że załatwią ten problem w ciągu kilku lat i że generalnie nie ma większego problemu. Ale problem był. Skutki klęski ekologicznej usuwaliśmy nie dwa, pięć czy 10, ale przez kilkadziesiąt lat – opowiada Zyta Bałazy.

Źródła klęski

Był koniec lat 70., drzewostany żółkły, coś się w nich działo, zamierały. Zaatakowała je gradacja małego motyla wskaźnicy modrzewianeczki. Zwalczana była środkami bardzo szkodliwymi dla środowiska. Później las zaatakowała cała gama innych szkodników. Trzeba podkreślić też, że lasy

były osłabione przez zanieczyszczenia płynące z Worka Turzowskiego i z elektrowni na węgiel brunatny w Polsce, Niemczech i Czechach. Te zanieczyszczenia trafiły tu na podatny grunt, czyli na drzewostany nie rodzimego pochodzenia, głównie świerczynę, i na ekstremalny klimat. Stąd wzięły się spustoszenia.

Były też inne czasy. Ochrona środowiska nie była tak ważna w Polsce, jak obecnie. Nie było ani narzędzi prawnych, ani pieniędzy, by przyrodę chronić i odbudowywać. Nadleśnictwa były pozostawione same sobie.

– Brakowało ludzi, sprzętu, pieniędzy – wspomina Zyta Bałazy. – Nasi przełożeni zauważyli problem dopiero w 1983 roku. Do pomocy ściągnęli ludzi z całej Polski. Brygady leśne z Piły i Poznania, dobrze przygotowane, zajmowały się głównie odnowieniem lasu, a pozostałe pozyskaniem drewna.

Jak wyglądał wtedy las? O ile w tym czasie z powodu potrzeb hodowlanych pozyskiwało się w nadleśnictwie około 41 tysięcy metrów sześciennych drewna rocznie, to w wyniku cięć sanitarnych w okresie klęski pozyskiwało się po 100, a nawet 180 tysięcy metrów sześciennych! W przeciągu dziesięciu





Zyta Bałazy – rocznik 1954, mieszka w Piechowicach, pochodzi z rodziny leśników. Żona Krzysztofa, mama Radomira, absolwentka Wydziału Leśnego Akademii Rolniczej w Poznaniu w 1981 roku. W latach 1982-84 pracowała w Nadleśnictwie Wejherowo, a od 1984 przez ponad 30 lat w Nadleśnictwie Szklarska Poręba (od 2006 jako nadleśniczy). Zasłużona w walce ze skutkami klęski ekologicznej w Górach Izerskich i Karkonoszach oraz w rozwoju narciarskich tras biegowych Biegu Piastów.

lat pozyskano milion metrów sześciennych drewna, głównie świerka, zamierającego z powodu ataku kornika. Czynnikiem klęski było więc wiele, co nazywamy chorobą spiralną.

Efektem było zamieranie lasów w Górach Izerskich i Karkonoszach na powierzchni piętnastu tysięcy hektarów. Tak, jakby z mapy wymazano jedno całe nadleśnictwo. Najbardziej ucierpiały nadleśnictwa Szklarska Poręba i Świeradów-Zdrój, ale duże straty poniósł też Karkonoski Park Narodowy i Nadleśnictwo Kamienna Góra.

Odbudowa lasu

– Współpracowali z nami naukowcy, którzy zastanawiali się, w jaki sposób odtworzyć drzewostany. Czy wprowadzać tutaj świerka, który być może znowu nie wytrzyma? Czy eksperymentować z jakimiś nowymi gatunkami? Jak zagospodarować ten wielki obszar, by nie było erozji i by las zaczął szybko działać jako fabryka powietrza, ale też jako pompa ssąca, czyli regulator gospodarki wodnej. Pracowało tu od maja do października kilkaset osób przy usuwaniu osuszu czynnego, czyli z kornikiem, i jałowego, czyli takiego, z którego kornik już wyleciał. Ludzie ci pracowali też przy odnowieniach lasów. Mnóstwo osób było zaangażowanych. Czapki z głów przed nimi! – mówi Zyta Bałazy.

Ale efektów nie było widać od razu. Nie było wiadomo, czy natychmiast wracać do drzewostanów pierwotnych, czy może powinien być okres przejściowy, czyli pod osłoną gatunków pionierskich, jak brzoza, modrzew czy jarzębina, sadzić gatunki inne, cenniejsze. Zdecydowano, że trzeba wprowadzać gatunki, które tu rosły – wysoko w górach świerk, z pochodzenia miejscowego, a im niżej, tym bogactwo gatunków powinno być coraz większe, czyli należało wprowadzać buka i jodłę.

Gdy walka o las zaczynała się, pieniądze na ten cel były tylko w Ekofunduszu, czyli pochodziły z zamiany zadłużenia Polski na wydatki na cele ekologiczne.

– Ekofundusz kojarzy mi się z doktorem Mirosławem Grzybem, leśnikiem, który znał doskonale temat i zdał sobie sprawę ze skali klęski. I to on, jak i prezes Ekofunduszu Nowicki, wiedzieli, że potrzeba nie tylko wyszkolonych ludzi, ale i dużych pieniędzy. Zawsze było ich za mało. Brakowało na remonty dróg i leśniczówek, na infrastrukturę turystyczną. To zmieniło się dopiero po latach. Przez długie lata klepaliśmy biedę. Zarabialiśmy z małżonkiem tak niewielkie pieniądze, że musieliśmy pożyczać na życie od rodziców, którzy pożyczki zawsze nam darowali, a jak już nie wypadało od rodziców, to prosiliśmy o pomoc naszego przyjaciela drwala, który wtedy, pracując na akord, zarabiał więcej niż kadra inżynierska i techniczna nadleśnictwa – przyznaje Zyta Bałazy.

– Pracowali u nas Rumuni – na każdych dwóch przypadają jeden pilnujący – kontynuuje opowieść pani Zyta. – Zatrudnialiśmy też FDJ-y, czyli młodzież z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która nie przyjeżdżała, by pracować, ale by rozrabiać. Przyjeżdżali pięknie ubrani, w białych tenisówkach, szli w góry, dostawali posiłek regeneracyjny, wodę mineralną, motyki i sadzonki. Potem okazywało się, że po wypiciu wody sadzonkę wkładali do butelki i tak zakopywali. Tej sytuacji nie wytrzymał ani mój małżonek, ani ja, ani świętej pamięci leśniczy Tadeusz Muraszko. Zbuntowaliśmy się. Wyładowaliśmy na dywaniku u I sekretarza PZPR, bo jak to, jak można odmówić takiej pomocy ze strony młodzieży niemieckiej? Byliśmy jednak wtedy zdesperowani i odważni, a naszym celem było dobro lasu.

Leśnik przed kornikiem

Jak walczone w Karkonoszach i Górach Izerskich z kornikiem? Czy wycinano i usuwano drzewa, które zaatakował?

– Leśnik musi iść przed kornikiem, a nie za. Gdybyśmy nie usuwali drzew z kornikiem, mielibyśmy tu drugą Białowieżę. W tamtych czasach, gdy kornik masowo zaatakował, w każdym leśnictwie było przynajmniej dwóch-trzech robotników



trocinkarzy. Dlaczego trocinkarzy? Bo jak kornik wbija się w drzewo, to swoimi nóżkami wypycha trocinki – takie małe, widoczne, białe punkciki na korze świerka. Trocinkarze wyznaczyli właśnie drzewa zasiedlone przez kornika, spisując je ołówkiem, w zeszycie. Numer w zeszycie odpowiadał numerowi na drzewie. Potem, jak najszybciej, trzeba było skierować tam drwali, by te zasiedlone drzewa wycięli. Następnie te drzewa powinny być jak najszybciej przetransportowane do tartaków bądź innych zakładów przerabiających drewno w odległości co najmniej trzech kilometrów od lasu, by ten kornik do lasu nie mógł wrócić. A jeśli nie można było tych drzew wywieźć, to ścinało się je i korowało, a korę, z tym małym chrząszczem bądź larwą, zakopywało się albo paliło. Były też inne metody, dziś już niestosowane, na przykład feromony. To zapach, jaki czasem płynie od kobiety. Feromony ściągały korniki do pułapek. Trocinkarze obchodzili raz w tygodniu las, opróżniali te pułapki, wymieniali feromony. W latach 80. zdarzało się, że robotnik potrafił zebrać w ciągu dnia wiadro korników. Nie stosowaliśmy chemii, bo las już był tak skażony, że nie chcieliśmy. Ale teraz widać w lasach siatki, nasączone substancją chemiczną, która nie pozwala, by kornik wleciał na drewno przykryte taką siatką. Gdy drewno jest zasiedlone, to gdy wyleci z niego kornik, zatrzyma się na tej siatce i zginie – tłumaczy Zyta Bałazy.

Wozacy i drwale

To były czasy, gdy w lasach pracowali liczni wozacy i konie. W Nadleśnictwie Szklarska Poręba utrzymywano trzy tak zwa-

ne parki konne, w których stacjonowało kilkadziesiąt koni. Pozostało niestety niewiele. Wielka szkoda, bo ani wozaka, ani drwala w górach, przynajmniej w naszych górach, nie zastąpią harvester i forwarder. Obecnie jednak są to zawody tak ciężkie i słabo płatne, że ostatnich wozaków można policzyć na palcach. To samo z drwalami. Efekt? Zniszczenia w lasach, o które ludzie mają często pretensje do leśników.

– Powiedziałabym, że to mniejsze zło, bo cięcia pielęgnacyjne i sanitarne trzeba robić, a nie mając drwala ani wozaka, nie ma innego wyjścia, jak jechać maszynami przez las do drzew zasiedlonych, złomów czy wywrotów – odpowiada Zyta Bałazy. – Niestety, te maszyny powodują erozję. Uważam, że Lasy Państwowe powinny pracować nad góorskimi technologiami pozyskiwania i zrywki drewna w celu ograniczenia szkód, które powinny być minimalne. Może maszyny mogłyby być mniejsze, ale będę powtarzała jak mantrę: bez wozaka i drwala w Górach Izerskich i Karkonoszach nie ma możliwości bezstresowego użytkowania lasu. Trzeba do nich wrócić, dać im wysokie wynagrodzenia, zachęcić do tej ciężkiej pracy.

Generalnie jednak izerski i karkonoski las odżył. Znowu jest taki, jak powinien: zielony!

– Doczekałam też restytucji jodły – mówi pani Bałazy. – W Nadleśnictwie Szklarska Poręba jej udział zbliża się do dwóch procent powierzchni. Nawet nie marzyłam, że nastąpi taka sytuacja. Dzięki temu można zająć się innymi zadaniami ochronnymi, na przykład ochroną cietrzewia. Czapki z głów przed wszystkimi, którzy się do tego przyczynili!

Na Kamienickim Grzbiecie



Historia osobista Zyty Bałazy



Pochodzę z Borów Tucholskich. Urodziłam się w małej, przepięknej miejscowości Osie. Była tam superizba porodowa, a moi rodzice mieli tam znajomości. Moja mama rodziła po ludzku, co się wtedy zdarzało rzadko. Jestem trzecią z rodzeństwa. Mam starszą siostrę, która jest nauczycielem, oraz brata, który jest związany z lasami. Przyszłam na świat 19 grudnia 1954 roku. Śmieję się, że pięćdziesiąty czwarty to dobry rocznik. Moi rodzice mieszkali w dość dużej wsi Jeżewo koło Świecia nad Wisłą, w Nadleśnictwie Dąbrowa. To jest moja pierwsza druga mała ojczyzna, a Szklarska Poręba to też moja pierwsza druga mała ojczyzna. Bo nie wiem, w jakiej kolejności je podawać.

Tam – w Borach Tucholskich – też się wychowałam, w dużym budynku Nadleśnictwa Dąbrowa, który dziś wygląda zupełnie inaczej. Wracam w te strony z sentymentem. Inaczej tam oddycham, gdyż rosną w tej okolicy bory sosnowe. Gdy weźmie się oddech, można się nim delektować... Tutaj nie zawsze tak było, choć już jest lepiej. Pamiętam w Nadleśnictwie Dąbrowa długi korytarz, po którym można było jeździć rowerem. Po prawej stronie były biura, po lewej mieszkanie nadleśniczego, którym był – przez prawie trzy dziesięciolecia – mój tato. W ciągu dnia nie wolno było do niego wchodzić, nie wolno było przeszkadzać. Mimo że było bardzo blisko – do gabinetu taty wchodziło się prosto z pokoju gościnnego.

W 1952, gdy moi rodzice mieli już dwoje dzieci, przeprowadzili się do Nadleśnictwa Dąbrowa. Tato skończył wcześniej studia w Poznaniu, należał do pierwszego rocznika wydziału leśnego po wojnie. Wydział leśny nie należał wtedy, jak obecnie, do Uniwersytetu Przyrodniczego, czy jak było wcześniej do Akademii Rolniczej bądź Wyższej Szkoły Rolniczej, ale do Uniwersytetu Poznańskiego. Żeby mój tato mógł studiować,

moja mama pracowała ciężko na gospodarstwie – takie to były czasy. Tuż po studiach od razu objął posadę, fachowców od lasów wówczas było niewielu. Wychowywałam się więc blisko lasu, na uboczu, na głębokiej wsi. Naszymi głównymi zabawkami były szyszki, mech, patyki i wszystko inne, co dawał las. Pamiętam, jak chowaliśmy z bratem i siostrą, w niewielkich grobach, nieżyjące jeże, wróble, jaskółki. To były nasze zabawy, jak również w wielkim ogrodzie, w którym kwitły narcyze. Szukałam tego gatunku, by posadzić go tutaj, ale nie znalazłam. Zapach z tego ogrodu, jakby cynamonu, przecudowny, kojarzy mi się właśnie z dzieciństwem.

Pamiętam też wyjazdy z tatą do lasu. Najpierw bryczką, a później warszawą pikapem. Wtedy leśnicy kiepsko zarabiali, więc całą rodziną pracowaliśmy na roli, mieliśmy łąki, pola uprawne, ogród i ogródek warzywny. Musieliśmy jako dzieci uczyć się pracy u podstaw. Wyjazd w wakacje nad jezioro był specjalną nagrodą po wykonaniu pracy pastucha. I tak na przykład ja zaczynałam pracę jako małe dziecko. Najpierw gąsek. Z czasem awansowałam, bo mogłam paść krowy. Choć doić się nigdy nie nauczyłam. Wspominam to z sentymentem, można było wziąć kocyk i posiedzieć na nim z książką w ręce. Krowy nie były bowiem tak ruchliwe jak gęsi. Gorzej było, gdy krowa weszła sąsiadowi w szkodę, co czasem się zdarzało. Pracowałam też w polu, plewiłam buraki, plewiłam też ogród i ogródek warzywny. Suszyliśmy siano. Nie baliśmy się tej roboty, to była dla nas frajda. Jedyną zabawką, jaką dostałam, to lalka. Otrzymałam ją na gwiazdkę, i do dziś pamiętam, że mój brat zrobił jej gwoździem dziurę w miejscu, gdzie miała brew. Lalka była zresztą koszmarna, ale i tak to bardzo przeżywałam. Później dostałam jeszcze pluszowego misia, którego mam do dzisiaj. Niestety, mój syn się nad nim pastwił, urwał mu głowę, ze strachu przed mamą przyszył ją potem



odwrotnie. Mimo to jako pamiątka z przeszłości jeszcze funkcjonuje. Moje wnuki Zuzia i Antek patrzą na niego i pytają: „Babciu, to naprawdę Twoja zabawka?”

Dojeżdżałam cztery kilometry byle jakim rowerem do szkoły do Jeżewa. Wtedy zaczęła się też moja przygoda z akordeonem. Woziłam go na bagażniku. Był ciężki, zdarzyło się ze dwa razy, że spadł, ale na szczęście nie rozbił się. Leśnicy – jak już wspomniałam – zarabiali niewiele i moi rodzice – mając nas czwórkę – musieli się spinać, by podołać wychowaniu takiej gromady. Dlatego pamiętam, że akordeon został zakupiony ze specjalnych pieniędzy, które mój tato miał ze sprzedaży ryb. Bo mieliśmy też staw rybny z linami, szczupakami, karasiami. Ich większy odłów został przeznaczony właśnie na akordeon. Mam go do dziś! A w ogóle mam trzy akordeony i gram na nich, szczególnie, gdy jestem bardzo zmęczona i zestresowana. Biorę sobie wtedy kieliszek czerwonego wina i zamykam się w pokoju. Choć mój mąż lubi słuchać mojej gry, a młodszy wnuczek Antek nawet lubi tańczyć, gdy gram. Niemniej jednak wolę, gdy nikt mnie nie słucha. Zamknięta jestem wtedy w swoim świecie, świetnie odpoczywam. Ciągłe szlifuję formę na akordeonie.

Moją szkołę podstawową wybudował mój dziadek. To też wielka historia i wielki człowiek. Śmieję się, że z matmy i domu jestem Noga, bo mój dziadek – tata taty – Bronisław Noga, był nauczycielem. W szkole jest nawet tablica upamiętniająca go jako budowniczego szkoły i jej kierownika w latach 1920–51. Gdy tam jestem i widzę tę tablicę, jestem wzruszona, bo niestety nie poznałam dziadka, gdyż wrócił bardzo schorowany z obozów koncentracyjnych w czasie wojny. Miał cukrzycę i gruźlicę, zmarł w 1952.

Do liceum chodziłam w Grudziądzu. Dojeżdżałam z domu rowerem, gdy byłam spóźniona, rzucałam go na szlabany,

wskakiwałam do pociągu, a w Grudziądzu ze stacji miałam co najmniej pół godziny pieszo. Uczęszczałam też do ogniska muzycznego przy szkole muzycznej w Grudziądzu. Zdarzało się, że zmęczona bardzo po lekcjach musiałam jeszcze ćwiczyć jakieś sonaty, sonatiny tudzież etiudy na akordeonie. Robiłam to czasem w nocy na sucho, po cichu, bo przecież nie mogłam pójść nieprzygotowana na lekcje. Maturę zdałam w 1973. Co dalej? Wiadomo! Choć tata mówił, że to kiepski pomysł, że to męski zawód. Uznałam, że to moje powołanie. Wydział leśny!

W Poznaniu, na tym samym wydziale, co mój tata, choć na innej uczelni, bo na Akademii Rolniczej. To mój ukochany wydział rodzinny, albowiem ukończył go także mój syn, mój mąż i chyba jeszcze dziesięcioro bliskich mi osób z mojej rodziny, w tym siostrzeńcy. Mam dwie siostry i wszystkie mamy mężów leśników. Na studiach poznałam męża, urodził się nam Radek, co było przyczyną przerwy na studiach. Radek przyszedł na świat w 1978 i oczywiście też jest leśnikiem, chociaż poszedł również w kierunku informatycznym, pasjonuje się GIS-em (systemem informacji geograficznej), więc jest trochę dalej od lasu, ale wierzę, że wróci. Czuje przyrodę, jest w tym dobry, wrażliwy, ma wspańiałą rodzinę. Ale gdy pytam wnuczkę Zuzię, co będzie robić w życiu, odpowiada, że będzie sadzić kwiatki w lesie. Spełni więc oczekiwania mamy, która jest ogrodnikiem, jak i taty – leśnika. Można powiedzieć, że pogodziła całą rodzinę.

Moje życie po studiach... Wtedy istniało coś takiego jak stypendia fundowane. Męża skierowano do Nadleśnictwa Strzebielino z siedzibą w Luzinie, a mnie rok później do Nadleśnictwa Wejherowo. Tam szlifowaliśmy formę, przy czym mój mąż po przejściach solidarnościowych, co zawołowało zresztą nawet uwiecznieniem go na filmie „Robotnicy 80”, musiał odejść.



Zyta Bałazy podczas powodzi w szkółce Pakoszów



Ważny czas z rodziną

Dostał wilczy bilet za zaangażowanie w "Solidarność". Zanim jednak wyjechaliśmy stamtąd, pracowało mi się w Wejherowie dobrze, poznałam tam wielu świetnych ludzi, którzy uczyli mnie fachu. Do dziś się z nimi przyjaźnię. Bo oczywiście studia dają cenną wiedzę teoretyczną, ale by nauczyć się zawodu, trzeba mieć przewodnika praktycznej strony fachu. W Szklarskiej Porębie mentorem i wzorem był dla mnie pan Edmund Kuczkowski, który był wieloletnim zastępcą nadleśniczego. Gdy zatrudniliśmy się tutaj, on uczył nas lasu w górach. Chapeau bas dla pana nadleśniczego!

W czasach klęski ekologicznej, gdy stosy papierów zamieniały się w góry, i trzeba było pracować w soboty i niedziele, wystarczyło powiedzieć: „Pomoże mi pan?” I ja tak mówiłam, jako inżynier nadzoru. Słyszałam zawsze: „Nie ma sprawy, pani Zyto”. W niedzielę rano szło się do kościoła na mszę świętą, a potem w teren. I tak przepracowaliśmy razem wiele lat. To człowiek, który wiele mnie nauczył i który zawsze mnie wspierał. Choć byli i inni, jak Romek Łopusiewicz, który przyjął mnie do pracy, którego uśmiech sprawił, że tu zostałam, bo inaczej bym uciekła po dwóch latach, a tak... Zrobiło się z tego całe życie. Edward Wojtkiewicz awansował mnie na nadleśniczego terenowego, choć nie bardzo chciałam, a później kazał mi zrobić prawo jazdy. Mój mąż, który ciągle podwyższał mi poprzeczkę, ale też zawsze mógł na mnie liczyć. Uważałam, że skoro oboje tu pracujemy, a on został nadleśniczym, podczas gdy ja byłam inżynierem nadzoru, to musimy udowodnić, że zasługujemy na nasze zawodowe role. Były

bowiem momenty, że było źle. My, ze swoimi pravicowymi poglądami, mieliśmy z tego powodu problemy, szczególnie mój małżonek, więc pracowałam cały czas z miłości i pasji do lasu, ale też po to, by udowodnić, że zasługujemy, by tu pozostać. Były też lata późniejsze, piękniejsze, zwłaszcza już po zakończeniu skutków klęski, gdy mogliśmy skupić się na innych zadaniach, jak na przykład na restytucji jodły. Myślę więc, że zaraziłam się lasem w dzieciństwie od rodziców, także od ojca chrzestnego – brata taty, który był także leśnikiem. I myślę, że ukształtowali mnie ludzie po drodze, w tym nauczyciele akademicki z Poznania. Gdy byłam nadleśniczym, lubiłam z nimi rozmawiać o lesie od strony naukowej. Nigdy nie bałam się mądrych ludzi. Uważałam, że moi podwładni powinni być mądrzejsi w swoich dziedzinach ode mnie.

Zrobiłam ze sześć studiów podyplomowych, by spotkać ludzi mądrzejszych od siebie. Ale też by posłuchać przy ognisku tego, co naprawdę myślą. Otwartość na innych, mądrych, pomaga w życiu, i w pracy zawodowej. Jeśli coś w życiu osiągnęłam, to dzięki rodzinie i moim nauczycielom.

Najważniejsza jest dla mnie rodzina. Na emeryturze mogę poświęcić więcej czasu wnukom. Są radością mojego życia. Kiedyś myślałam, że emerytura to koniec życia, a teraz widzę, że dopóki mam siły, mam wiele planów i marzeń. Dziś najwięcej szczęścia daje mi bycie ze swoimi najbliższymi. Ale chciałabym też zwiedzać świat. Ciężko aklimatyzuję się w nowych miejscach. W tym, gdzie jestem od lat, też tak było, a dziś uważam je za swoje miejsce na ziemi. Gdy zabraknie mi kiedyś sił na pracę w moim ogrodzie, zajrzę do mojej biblioteki i wyszperam wszystkie materiały dotyczące przede wszystkim ludzi, ale także tego, co się tutaj działo przez ponad 30 lat. I zacznę o tym pisać, głównie o ludziach. Brakuje mi tego, tych ludzi, którzy odeszli, którzy byli moimi idolami. Jak choćby Tomek Jukiewicz, który przepracował ponad 40 lat w lesie. To była jego pasja! Pisał wiersze, prosił sobie wyobrazić, że zabrakło kilku godzin, by mój następca Jerzy Majdan wręczył mu wydany tomik jego wierszy. Takich cudownych ludzi mi brakuje. Nie możemy o nich zapomnieć. Jak mówił kardynał Wyszyński: naród bez historii, przeszłości, nie ma przyszłości. Leśnikom też mówię, by utożsamiali się ze swoim Nadleśnictwem. Niech nie gonią gdzieś za pieniądzem, za sukcesami, bo można je osiągnąć tutaj.

Tekst: **Leszek Kosiorowski**

Zdjęcia ze zbiorów **Biegu Piastów** oraz **archiwum rodzinnego Zyty Bałazy**



Z drużyną Biegu Piastów



Daniel Kucuk



Kolej rośnie w siłę

Gdy ponad 20 lat temu do Karpacza po raz ostatni pojechał pociąg z Jeleniej Góry, wydawało się, że to bezpowrotny koniec kolei. Poza garstką jej miłośników w jej powrót nie wierzył nikt. Dziś kolej wraca nie tylko w naszym regionie. To znak zmieniającego się świata, w tym stylu życia, w którym w zgodzie idą wygoda i troska o środowisko naturalne.

Przełom XX i XXI wieku, Polacy ciągle dorabiają się, kupują samochody, zaczynają częściej jeździć na wakacje, także ci, których wcześniej nie było na to stać. Ale w turystyce ciągle panuje sezonowość, czyli ruch jest ogromny w lipcu i sierpniu, podczas ferii zimowych, jak również na początku maja i w okresie świąteczno-noworocznym. Poza tymi okresami hotele, pensjonaty i domy wczasowe świecą pustkami. Drogi zresztą też. Przez większość czasu w naszych stronach jest spokojnie. Miejsc noclegowych jest zdecydowanie mniej niż dziś. Wszędzie – poza szczytem sezonu – łatwo dojechać samochodem. Pociągi natomiast przez wiele tygodni wożą tylko kolejarzy, którzy nie płacą za bilety. PKP jest państwowym, postkomunistycznym molochem, który istnieje właściwie głównie dla siebie. Jego wagony są brudne, często śmierdzące, powolne, co dodatkowo zniechęca, by z nich korzystać.

Nikt już nie chce utrzymywać głęboko deficytowych połączeń. Nie widać nawet interesu społecznego w dopłacie do nich. Linie są likwidowane jedna po drugiej. Wydaje się, że w Polsce kolej, zwłaszcza na lokalnych liniach, nie ma szans.

Region się rozwija

Pierwsza a szczególnie druga dekada XXI wieku to czas szybkiego rozwoju i wzrostu zamożności społeczeństwa. Na wakacje zaczyna być stać rodziny, które wcześniej nie mogły sobie na to pozwolić. Zamożni stają się natomiast bardziej zamożni. Biznes turystyczny rozkwita. Budowane są luksusowe hotele i apartamentowce. Każda atrakcyjna lokalizacja staje się potencjalną żyłą złota. Liczba nowych miejsc noclegowych liczona jest w tysiącach (zarówno w Karpaczu, jak i w Szklarskiej Porębie, a w mniejszej skali w innych miejscowościach). Jednocześnie przybywa ludzi, których stać na korzystanie z nowych obiektów.

Co bardzo istotne dla obłożenia bazy i rentowności turystycznych interesów: zmienia się głęboko rynek pracy. Mnóstwo Polaków zaczyna pracować nie na etacie, ale prowadząc działalność gospodarczą. Trudno im teraz wyrwać dwa – trzy tygodnie wolnego za jednym razem, ale bez problemów mogą sobie pozwolić na parę kilkudniowych wypadów o różnych porach roku.



Okolice Szklarskiej Poręby



W połączeniu ze zmianami klimatycznymi, które nawet listopad zamieniają z miesiąca smutnego i deszczowego w dość ciepły i słoneczny, znika pojęcie sezonowości ruchu turystycznego. Już nikt albo prawie nikt nie zamyka hotelu czy restauracji na miesiące wiosenne czy jesienne. Interes kręci się przez cały rok.

Gęsto, duszno

Przybywa samochodów i budynków. Robi się ciasno i duszno. Dojazd samochodem staje się trudniejszy już nie tylko w terminach tradycyjnych szczytów sezonów, ale właściwie w każdym weekend.

Ponieważ wolnych powierzchni jest coraz mniej (bo wszędzie wyrastają hotele i apartamentowce), trudniej znaleźć miejsce do parkowania. Jego koszty sztybują w górę, nawet do kilkudziesięciu złotych dziennie (pomijamy ekstremalnie stawki w wysokości ponad 100 złotych za dzień). Przybywa ludzi, którzy mają dość samochodów. To zrozumiałe. Jadą w góry, by wypocząć albo się porządnie zmęczyć, ale w przyrodzie, a nie z powodu samochodu. Rzeczywistość zaś jest taka: stoję długo w korku na drodze do Karpacza lub Szklarskiej Poręby, potem szukam długo miejsca do parkowania, następnie muszę za nie zapłacić jak za zboże. Potem jeszcze muszę jakoś wyjechać z kurortu i wtedy stać w korku.

Czy jazda samochodem w takiej sytuacji ma sens? Wielu uważa, że nie. Dlatego szansę powrotu otrzymuje kolej.

Pociąg daje wolność

Najpierw wieloletnie starania miłośników kolei doprowadzają do reaktywacji połączeń ze Szklarskiej Poręby przez Jakuszyce do Harrachova. Ta reaktywacja ma zresztą inny kontekst, niż opisany wyżej.

– W Austrii, Szwajcarii, Niemczech połączenia kolejowe są powszechne. Traktowane są nie tylko jako środek transportu, ale też jako atrakcja turystyczna – mówi specjalista od logistyki transportu i miłośnik kolei Piotr Manowiecki.

Tak właśnie było z przywróceniem połączeń ze Szklarskiej Poręby do Harrachova (zwanymi potocznie Koleją Izerską) i dalej do Liberca. Początkowo były atrakcją turystyczną, całoroczną, bo pozwalającą dostać się na biegówki do Jakuszyce, które zimą są zatłoczone i trudno znaleźć w nich miejsce do zaparkowania samochodu.

Dziś jednak, gdy zna się częste gigantyczne korki na drodze krajowej, ciągnące się czasem od Piechowic przez centrum Szklarskiej Poręby aż do Jakuszyce, kolej staje się środkiem transportu, który ratuje sytuację. Jest bezkonkurencyjna i cieszy się coraz większą popularnością.

Linia Szklarska Poręba – Jakuszyce – Harrachov – Liberec jest też doskonałym przykładem, że kolej może dawać znacznie większą wolność turystyce niż samochód. Do samochodu jest się jednak uwiązany, trzeba do niego wrócić, a jeśli linia kolejowa ma sporo atrakcyjnie i sensownie położonych przystanków, wycieczkę można zakończyć w zupełnie innym miejscu, niż się ją zaczęło. Sam to kilka razy praktykowałem,

kończąc wycieczki, rozpoczęte w Jakuszycach, w czeskich miejscowościach Korzenov i Harrachov, skąd można wrócić pociągiem przez Jakuszyce do Szklarskiej Poręby, gdzie zawsze czeka pociąg do Jeleniej Góry.

Nowe życie dworców

– Podoba nam się powrót kolei i mocno go promujemy – mówi kierowniczka Referatu Promocji Urzędu Miasta w Szklarskiej Porębie Agnieszka Rozenek. – Nasz dworzec kolejowy wygląda świetnie, a Czwarty Peron, czyli miejsce na jego terenie, okazuje się znakomitym punktem różnych wydarzeń, kulturalnych i innych.

Dobrze wygląda też dworzec w Jeleniej Górze, nowe przystanki w granicach tego miasta (np. bardzo praktycznie





zlokalizowany przystanek Jelenia Góra Zabobrze), ale też ośrodek kultury w Świeradowie-Zdroju, do którego kolej już wróci, gdy będziecie Państwo czytać ten artykuł.

Doskonale jako biblioteka i Muzeum Zabawek ze zbiorów Henryka Tomaszewskiego spisuje się budynek dawnego dworca w Karpaczu. Tam również wkrótce wrócą pociągi.

Jak mówi burmistrz Karpacza Radosław Jęcek, dworzec w nowej odsłonie stanie się częścią większego centrum logistycznego, które pozwoli odciążyć miasto od samochodów. W pobliżu, czyli na wjeździe do Karpacza, powstanie duży parking. Przyjezdni – zarówno pociągami, jak i samochodami, będą mogli dalej pojechać autobusami lub pójść pieszo. Pociągi z Jeleniej Góry do Karpacza zatrzymywać się będą w Łomnicy i Mysłakowicach.

Kolej wróci także do innej perełki w krainie Ducha Gór: Kowar. Nowe życie otrzymuje tamtejszy dworzec – stanie się miejscem prezentacji wyrobów lokalnych i siedzibą organizacji pozarządowych.

Ogromną rolę w przywracaniu kolei odgrywa samorząd województwa dolnośląskiego. Korzysta w tym celu z pieniędzy Unii Europejskiej, w której jest zielone światło na takie inwestycje. Kolej zresztą już łączy nasz region z UE, gdyż Jelenia Góra ma połączenie z niemieckim Goerlitz.

Powrót kolei nie jest pomysłem ani tendencją lokalną. Jak ogłosiło PKP Intercity, latem 2023 roku odnotowało rekordową liczbę pasażerów jadących na wakacje. O tym, że liczba pasażerów rośnie także u nas, można przekonać się choćby w synobusie na Polanę Jakuszycką. Na peronie usytuowanym dosłownie przed wejściem do Dolnośląskiego Centrum Sportu Polana Jakuszycka, w weekendy wysiada mnóstwo ludzi – o każdej porze roku.

Ale w siłę rośnie nie tylko kolej. Wystarczy zapoznać się ze znakomitymi wynikami i rozwojem sieci autobusowej FlixBus, wożącej ludzi na paru kontynentach, by dojść do wniosku, że dla komunikacji zbiorowej nastał lepszy czas. Jest to zbieżne z coraz bardziej powszechnym, pełnym troski o planetę, sposobem myślenia w kategoriach zrównoważonego rozwoju i oszczędności zasobów. Z tego samego powodu można spotkać się z poglądem, że latanie samolotem, z uwagi na ślad węglowy, jest szkodliwe dla środowiska (i sporo osób rezygnuje dlatego z tej formy transportu).

Jak mówiła przecież wielka dama Krainy Ducha Gór Alina Obidniak: człowiekiem światowym nie jest ten, kto podróżuje po świecie, fotografuje się w pięknych i znanych miejscach. Człowiekiem światowym jest ten, kto dba o świat tak, jak tylko może i potrafi. Choćby tylko w granicach swojego ogródka.

Tekst: **Leszek Kosiorowski**

Zdjęcia: **Daniel Koszela**



Pociąg do kultury. Na 4Peronie oczywiście

Niewiele jest nowych miejsc, które tak pięknie wpłynęły na górski krajobraz kulturowy, udanie łącząc miejscową tradycję, zadbaną architekturę z infrastrukturą miejską, lokalnym życiem społecznym i ważnym węzłem komunikacyjnym. Stworzenie ośrodka kulturalnego w wyremontowanym dworcu kolejowym na stacji Szklarska Poręba Górna było strzałem w dziesiątkę. 4Peron okazał się bowiem nie tylko inwestycyjnym pomysłem na nowe zagospodarowanie kolejowego obiektu i wypełnienie go bogatym życiem, jakiego nie jest w stanie zapewnić mu skromny rozkład jazdy pociągów. 4Peron w Szklarskiej Porębie to przede wszystkim wielki sukces lokalnego samorządu, Miejskiego Ośrodka Kultury i Aktywności Lokalnej oraz osoby szefowej tej instytucji - Anity Kaczmarskiej. Bo to dzięki jej ogromnemu zaangażowaniu to miejsce powstało i tętni autentycznym życiem kulturalnym. Nie tak wielką sztuką jest bowiem zrealizowanie nawet bardzo kosztownej inwestycji budowlanej, jak wypełnienie później jej efektów energią ludzi i trwanie w tym życiowym dziele na odpowiednim poziomie. A to na 4Peronie z cudownym widokiem nie tylko na Szrenicę i całą okolicę udaje się znakomicie. Pociągiem można rzeczywiście wjechać tutaj wprost do centrum życia kulturalnego o niezwyklej aktywności i imponującym poziomie, do czego nie zobowiązuje przecież lokalizacja działań na znacznej wysokości nad poziomem morza.

Dworzec kolejowy Szklarska Poręba Górna stał się centrum życia kulturalnego miasta pod Szrenicą



Infrastrukturalny pomysł na 4Peron nie był specjalnie oryginalny. Wiele dworcowych obiektów kolejowych, także w innych miejscach naszego regionu, zmieniono już wcześniej w ośrodki kulturalne i osadzono w nich samorządowe instytucje kultury. Podobnie stało się przecież choćby w Karpaczu czy Świeradowie Zdroju. W Szklarskiej Porębie nowe życie dworcowe eksplodowało jednak z ogromną siłą. Pewnie także i dlatego, że do miasta pod Szrenicą prowa-

dzi nieustannie działająca linia kolejowa i jakkolwiek ruch pasażerski odbywa się na tutejszym dworcu nieustannie. To jednak animatorzy kultury, zapraszani przez nich artyści i uczestnicy wydarzeń stoją za sukcesem odjazdowego Peronu. Miejsce spotkań, koncertów, wystaw, dyskusji, pokazów, warsztatów, zabaw. Do tego jeszcze kino. Pociąg do kultury kursuje tutaj według gęstego rozkładu jazdy.



– W misji mamy zapisane, że naszym zadaniem jest budowanie dobrych, trwałych relacji międzyludzkich, integrowanie zróżnicowanych grup społecznych, wspieranie kreatywności opartej na kulturze, przywiązywanie wagi do walorów estetycznych, uwrażliwianie na piękno, zwiększanie poczucia własnej wartości i zapobieganie wykluczeniu społecznemu. Konsolidowanie lokalnych artystów, przybliżanie społeczności miasta środowiska kultury i sztuki oraz pielęgnowanie dziedzictwa kulturalnego i historycznego Szklarskiej Poręby. I staramy się realizować te strategiczne cele. Zależy mi jednak ogromnie, aby 4Peron był miejscem prawdziwych spotkań, „kulturalnych odjazdów”, prezentacji osób, którzy tworzą pod Szrenicą i swoim talentem chcą się podzielić. Miejscem, w którym mieszkańcy widzą siebie nawzajem poprzez pryzmat różnorodnych przeżyć kulturalnych – wyjaśnia dyrektorka MOKSiAL-u Anita Kaczmarska – Gdy prosiłam o 4Peron burmistrza i radnych, przekonywałam Radę Miasta, aby móc przeznaczyć na to środki, (choć znakomita większość pochodzi ze środków zewnętrznych – o tym w załączeniu) przekonywałam ich, że aby stworzyć lokalną społeczność, nie wystarczą spotkania pod Biedronką czy w kościele, nie wystarczy wymiana myśli w profilach społecznościowych (czasem niezbyt miłą). Ludzie muszą się spotkać, porozmawiać i wspólnie przeżywać. Nie tylko podczas jednej dużej imprezy w roku. I to daje im 4Peron. Nie ma tygodnia by tam nie było wydarzeń. Czasami są one w czwartek, piątek, sobotę i niedzielę. Wydarzenia są bardzo różnorodne – tak jak różnorodni są nasi mieszkańcy. Nie tylko pod względem zainteresowań czy wieku. Szklarska Poręba jest małą miejscowością. Jest nas 5,5 tys. mieszkańców. Ale niemal codziennie przebywa tu kilkanaście tysięcy turystów. Rotacja mieszkańców jest olbrzy-

Anita Kaczmarska jest dumna z sukcesu 4Peronu



Poniżej fragment wystawy Zbigniewa Frączkiewicza



mia. Przyjeżdżają nowi, osiedlają się czasem na krótki czas, czasem na dłużej i wyjeżdżają. Budować zintegrowaną społeczność lokalną jest niezwykle trudno. Ubywa mieszkańców, przybywa deweloperów. Zadaniem 4Peronu jest wzmocnienie budowania silnej lokalnej społeczności. Oczywiście swoje wydarzenia i działania kierujemy również do turystów. Są oni dla nas bardzo ważni, także dlatego, że z różnych względów nasi goście są ważni również dla mieszkańców miasta.

Wydarzenia organizowane na 4Peronie są bardzo różnorodne. Wystawy, koncerty, spektakle, spotkania, festiwale, warsztaty. Twórcy jego programu bardzo dbają o to, aby pokazywać mieszkańców swojego miasta. Dzięki pięknemu położeniu Szklarska Poręba zawsze przyciągała bardzo utalentowanych i kreatywnych ludzi. I tak jest do dzisiaj. Ponad sto lat temu pod Szrenicą ludzie sztuki zjednoczyli się w „Stowarzyszeniu Artystów św. Łukasza”. W drugiej połowie XX w. reaktywowano Kolonię Artystyczną. Artystki i artyści mówią tu o sobie „Kolonii Indywidualistów”. Łączy ich miejsce tworzenia i krajobraz inspiracji. Zajmują się malarstwem, rzeźbą, rysunkiem, muzyką, filmem, literaturą, sztuką i ceramiką.



– Pokazujemy ich na 4Peronie. Ale również zapraszamy artystów z zewnątrz: muzyków, aktorów, pisarzy, podróżników, joginów śmiechu, lekarzy, mimów, fotografów, tancerzy, malarzy, rzeźbiarzy, szamanów i wiedźm, sportowców itp. itd. Chcemy, aby z 4Peronu nasi goście odjechali w kierunku swoich pasji zainspirowani działaniami i wydarzeniami, które proponujemy – przekonuje Anita Kaczmarek.

Tylko w mijającym roku miały tutaj miejsce świetne wystawy, cieszące się wielkim zainteresowaniem: przygotowana także przez mieszkańców Szklarskiej Poręby prezentacja „Sporty Zimowe Dawniej” (połączona z cyklem spotkań ze sportowcami – mieszkańcami Szklarskiej Poręby oraz trenerami sportów zimowych, medalistami olimpijskimi), retrospektywna wystawa prac Zbigniewa Frączkiewicza „Portret Pokolenia”, „Jedno z trzech” – Beaty, Matyldy i Janusza Koneckich, czy „Połączenia” (prezentacja prac studentów i profesorów wydziału rzeźby ASP we Wrocławiu. Do tego całe mnóstwo koncertów (m.in. Mesajah, w ramach Koncertowej Majówki – Kirszenbaum, Paprika Korps, Pablopavo i Ludziki, Zion Train, Joint Venture i Kosmos Mega Sound System, Świetliki, MonoKolektyw, Wojciech Jarociński, Retrofonik, Sławomir Darul, Ania Waraszko, Waluś Kraksa Kryzys).

Na afiszach teatralnych pojawiły się spektakle: „Co modna Pani wiedzieć powinna” (monodram Katarzyny Kołeczek), „Eksperyment” Teatru 55, „Cudowna Terapia” z Edytą Jungowską, Dariuszem Kordkiem i Arturem Pontkiem., „Sex dla opornych” Jacka Grondowego. Spotkania autorskie: Robert Rient – „50 roślin leczniczych i jeden grzyb”, Anna Szczepczyńska, Robert Musiał „Dzisiaj śpisz ze mną” (premiera filmu pod tym samym tytułem), Joanna M. Chmielewska „Słońce w kieszeni”, Borys Tynka – „Odessa w pierwszych dniach wojny”, Robert Czepielewski „Wojna na Ukrainie – jak ją widzę”

dziennikarz. Z publicznością rozmawiały też tutaj światowej klasy piłkarki – Agata Tarczyńska i Ewa Pajor oraz pierwszy w Polsce Jogin Śmiechu – Piotr Bielski.

Na liście festiwali i imprez integrujących dla mieszkańców miasta i gości: Festiwal Kobiet, Boskie Zdrówko! (wspólnie z fundacją Boskie Karkonoskie), Festiwal Nietrafiionych Prezentów, Lady Baba, Dzień Dziecka z MOKSiAL-em, Festiwal Filmów Górskich, Festiwal NASH (organizator Fundacja Ars Sudetica), I Festiwal Historyczny w Szklarskiej Porębie (cykl prelekcji związanych z historią regionu przedstawiony przez znanych autorów książek historycznych – Krzysztof Krzyżanowski, Szymon Wrzesiński Robert Primke, Maciej Szczerepa, Justyna Kość), Milonga Niepodległościowa (11 Listopada w wydarzeniu przygotowanym wspólnie z Tangiem Karkonosze udział wzięło stu tancerzy z Polski, Czech i Niemiec). I jeszcze wiele innych wykładów, prelekcji, spotkań rozwojowych, warsztatów, a w ramach specjalnego Projektu Integracja Polsko-Ukraińska dla oświaty w Szklarskiej Porębie (koordynowany przez UM Szklarska Poręba) – Międzynarodowa Wielkanoc, Wiosenny Koncert dla Mam, Międzykulturowe Babie Lato, Międzynarodowa Konferencja dla Nauczycieli.

Wreszcie dla wszystkich miłośników filmowych wrażeń Kino za Rogiem, a w nim weekendowe kino repertuarowe, czwartkowe seanse na życzenie, imprezy okolicznościowe, spotkania z prelegentami, imprezy rodzinne, programy edukacyjne, Kino Seniora, prezentacje filmów stworzonych przez mieszkańców miasta, jak choćby cykl „Szklarska Poręba dla artystów”.

Kulturalnych podróży całe mnóstwo. Jedziemy!

MOKSiAL Szklarska Poręba



Na kulturalnym dworcu kolejowym
można też zatańczyć i pójść do kina



**Miejski Ośrodek Kultury,
Sportu i Aktywności Lokalnej**


Szkłarska Poręba

Zdjęcia ze zbiorów **MOKSiAL-u**
oraz **Urzędu Miasta Szkłarska Poręba**

1+1+1=1



Końca dobiega realizacja niemal całorocznego projektu teatralnego zorganizowanego przez Osiedlowy Dom Kultury w Jeleniej Górze, odbywającego się pod nieco tajemniczym tytułem: 1+1+1 = 1. Partnerem projektu był Dom Dzieci i Młodzieży Větrník z Libercu.

W ramach projektu odbyły się aż dwa festiwale: 21. Dziecięco-młodzieżowe konfrontacje teatralne TEATRRRAŁKI i pierwsza edycja festiwalu JEŠTĚDYVADLO w Libercu. Organizatorzy czeskiego festiwalu nie kryją, że jeleniogórskie TEATRRRAŁKI, w których uczestniczą od lat, były dla nich prawdziwą inspiracją przy tworzeniu własnego wydarzenia.

Jeleniogórskie TEATRRRAŁKI to jeden z największych festiwali teatrów dziecięcych i młodzieżowych w kraju, bardzo wysoko oceniany wśród uczestników i ich opiekunów. W tym roku w wydarzeniu wzięło udział aż 27 zespołów z Polski i Czech, od przedszkolaków, aż po młodzież maturalną. Łącznie uczestniczyło w nim ponad 400 osób! Duża rozpiętość wiekowa uczestników nie jest problemem, ponieważ są oni podzieleni na trzy kategorie wiekowe. Spektakle odbywające się w Zdrojowym Teatrze Animacji oceniało 3-osobowe jury w składzie dr Agnieszka Włoch – wykładowczyni na Uniwersytecie Opolskim, reżyserka teatrów młodzieżowych oraz grup dorosłych, Perla Kuerova – aktorka z Czech i Zbigniew Szumski – założyciel i reżyser Teatru Cinema.

JEŠTĚDYVADLO to czterodniowy festiwal adresowany do młodzieży. Wzięło w nim udział 19 zespołów, w tym aż 7 z Polski, a spektakle oceniało 5-osobowe jury. Uczestnictwo ponad 200 osób jest dużym sukcesem tego młodego wydarzenia.

Jednym z ważnych celów realizacji projektu była próba integracji i wsparcie psychologiczne młodych osób, dla których okres pandemii, a potem wojna w Ukrainie, to bardzo trudny czas. Świadectwem tych nastrojów były przedstawienia i poruszane w nich tematy: wojna, odrzucenie, samotność, poczucie niedopasowania czy izolacji. Dlatego też jednym z głównych założeń działania było zaproszenie do współuczestnictwa dzieci i młodzieży z Ukrainy, które obecnie przebywają w Polsce i Czechach. By ten czas i dla nich był wyjątkowy. By był także czasem mądrej zabawy i beztroski.

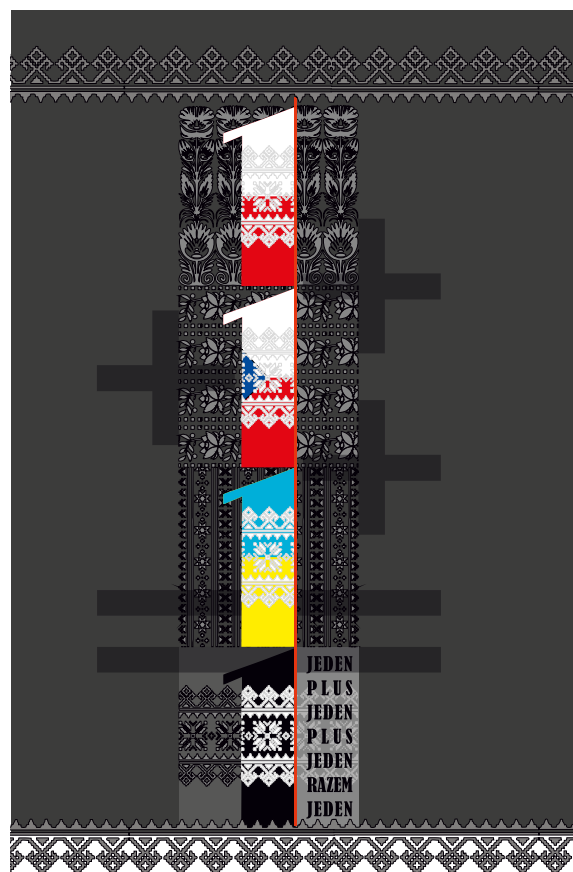
Festiwale nie były jedynymi wydarzeniami projektu. W czasie ich realizacji po obu stronach granicy odbyło się ponad 30 warsztatów teatralnych dla grup polsko-czesko-ukraińskich. Instruktorzy zespołów z Polski i Czech wzięli udział w stażach i mogli nawzajem obserwować swoje metody pracy. Zorganizowano dwie konferencje z udziałem arteterapeutów, którzy odpowiadali na wiele pytań. Powstała specjalna publikacja, do której tekst o terapeutycznej roli teatru napisała jedna z najlepszych specjalistek w tej dziedzinie – Koryna Opala-Rybka. Refleksjami na temat swoich metod pracy podzieliła się też instruktorka młodzieżowych grup teatralnych z Chojnowa – Karolina Rosocka – Kiedy zaczynamy pracę nad spektaklem nie mam ani gotowego tekstu literackiego ani scenariusza. Nie wiem, gdzie idziemy, a tym bardziej, gdzie dojdziemy. To metoda pełna niepewności, zwrotów akcji, błędzenia,

odrzuć, poszukiwania. Metoda zorientowana na proces. (...) Analizując własną metodę pracy, utwierdzam się w przekonaniu, że zaufanie do samej siebie, bycie autentycznym, podążanie za pasją oraz pozwolenie sobie na niewiedzę, niepewność i popełnianie błędów, a także zaufanie impulsom i przecuciom, pojawiającym się w trakcie procesu, przy jednoczesnym poszanowaniu indywidualności i różnorodności każdej i każdego uczestnika grupy oraz budowanie z nimi bliskich relacji powodują, że tworzymy razem teatr, w którym każdy w jakiś sposób może się odnaleźć. Obserwując młodych ludzi oraz ich zaangażowanie w pracę nad spektaklami, a także postęp, jaki się w nich dokonuje, uświadamiam sobie skuteczność własnej metody, dzięki której udaje mi się razem z młodzieżą stworzyć nie tylko dobre i oryginalne spektakle, ale przestrzeń do rozwoju, budowania więzi oraz swobodnego i nieskrępowanego bycia i wyrażania siebie.

Stworzenie miejsca i przestrzeni dla wszystkich, którzy chcą/ potrzebują – za pośrednictwem teatru – wzmacniać własną kreatywność i odkrywać siebie to cel, który postawili sobie organizatorzy projektu, a ponad 1000 uczestników biorących udział w wydarzeniu to wystarczające potwierdzenie, że cele zadania udało się zrealizować.



Materiały Osiedlowego Domu Kultury w Jeleniej Górze





Niepoliczalna obfitość maku

Nie do końca odkryte i usystematyzowane bogactwo kulinarne Gór Olbrzymich, na którego obraz miały wpływ kuchnia śląska, łужиcka, pruska i czeska, fascynuje badaczy kultury i praktyków. Bo jaka właściwie jest kuchnia naszego regionu?

Opowieści o sztuce kulinarnej regionu warto rozpocząć od potraw symbolicznych, związanych z nadchodzącym okresem końca roku i Bożego Narodzenia.

Od pewnego czasu poszukiwanie i rozumienie regionalnego dziedzictwa kuliarnego wpisuje się w zauważalny w świecie trend "powrotu do źródeł i korzeni". Po latach fascynacji tym, co odległe, zamorskie i egzotyczne, z czułością powracamy do lokalnych i rodzinnych przepisów. O ile większość regionów Polski może szczycić się utrwaloną w tożsamości i historii przekazie kanonu potraw i zwyczajów, o tyle Dolny Śląsk nie jest pod tym względem jednoznaczny do zdefiniowania.

Kiedy przygotowuję w Karkonoszach spotkania kulinarne, często słyszę prośbę: „Przygotuj nam coś typowego, coś lokalnego, Aniu. Wiesz, to, co się jada w górach, w domach w Dolinie Bobru, w Jeleniej Górze, na Dolnym Śląsku”.

I zawsze w takim przypadku zamyślam się i uśmiecham pod nosem, bo rozumiem, że ta lokalna strawa w Karkonoszach to temat nieoczywisty, wymagający wprowadzenia i nakreślenia specyficznego kontekstu.

Tożsamość kulinarna Dolnego Śląska, w tym Gór Olbrzymich, jest wyjątkowo złożona, wpisująca się w bogactwo dziejów i kultury regionu. Próba jednoznacznego usystematyzowania zdaje się być niemal niemożliwa i, używając kulinarnych porównań – jak ziarnka maku w makówce – niezwykle meandryczna oraz trudno policzalna. Dość zauważyć, że istotą współczesnej kultury kulinarnej Dolnego Śląska jest jej dualny charakter. Ten determinowany miejscem, terytorium, w którym żyjemy, i ten z pamięci pokoleń, naszych przodków, którzy po II wojnie światowej, z wielu regionów Polski i Europy trafili na Kresy Zachodnie. Obecnie zauważyć można jeszcze jedno zjawisko. Dolny Śląsk i Karkonosze przyciągają kulturowo i krajobrazowo nowych mieszkańców – świadomych, poszukujących, zachwycających się Karkonoszami, Izerami, Doliną Bobru, Kaczawami, Łużycami. Przybywają z różnych stron Polski, Europy, świata. I tak jak powojenni przesiedleńcy wzbogacają krajobraz społeczny własnymi zwyczajami, tradycjami, potrawami.

Nasi przodkowie zasiedlili te ziemie wbrew własnej woli, wyrwani z kresowego matecznika, współcześni nomadzi trafiający w Karkonosze, w większości docierają tu z własnej woli i wyboru.

Przedwojenni mieszkańcy tych terenów, przesiedleni w głąb Niemiec, zabrali ze sobą tradycje i kulturę, a silne starania polityczne, by jak najszybciej nadać tym ziemiom „polski” charakter, świadomie wymazywały poniemieckie ślady tożsamości. Doskonale widać to na przykładzie dziedzictwa kulinarnego.

Wpodróż pogórach smaków zabiera nas ANNA KOMSTA – private chef, autorka książki „Opowieści stołu. Ze Wschodu na Zachód”. Gości program kulinarnego Canal + „Jakubiak rozgryza Polskę”. Współautorka książki „Wrocławska książka kucharska” Wyd. Europejska Stolica Kultury Wrocław 2016. Jedną z bohaterów książki „Odetchnij od miasta. Dolny Śląsk” Wyd. Buchmann. Laureatka konkursu „Boskie karkonoskie 2022”. Edukatorka i animatorka kultury. Prowadzi warsztaty kulinarne (m.in. Retro Bistro w OKSiT we Wleniu), gawędy i spotkania. Z pasją tropi i wykorzystuje we współczesnej kuchni retro smaki kuchni Gór Olbrzymich i wschodniokresowych. Celebrytuje prowincjonalność w Dolinie Bobru.



Można przyjąć, że bogactwo sztuki kulinarnej Karkonoszy opiera się na przedwojennym dziedzictwie regionu oraz tradycji, które przywędrowały wraz z przesiedleńcami, między innymi z Kresów Wschodnich, Polski centralnej, reemigrantów z terenu byłej Jugosławii i Francji. Nie wystarczy jednak uprościć sprawę i użyć terminu: przedwojenna kuchnia karkonoska. W drugim rozdziale książki "Kuchnia Ducha Gór" znawca i miłośnik lokalnej kuchni Piotr Gryszel słusznie zauważa, że teren Gór Olbrzymich był zbyt mały, by wykształcić w pełni odrębną kuchnię. Lokalna sztuka kulinarna w zasadzie opierała się na tradycji kuchni śląskiej, łужицкой i czeskiej, ale też pruskiej, austriackiej, polskiej, włoskiej, tureckiej i węgierskiej. Do tego z jakościowym podziałem na kuchnie poszczególnych grup społecznych. Co innego jadali ubodzy mieszkańcy terenów podgórskich z okolic Szklarskiej Poręby, a zupełnie co innego pojawiało się na stołach mieszczańskich czy na arystokratycznych ucztach.

Tym bardziej cieszy fakt, że dzięki wysiłkowi i pasji badaczy kultury, regionalistów, lokalnych muzeów, organizacji i kulinarnych aktywistów, możliwe jest dotarcie do materiałów opisujących i dokumentujących styl życia, w tym specyficzne potrawy pojawiające się na stołach mieszkańców przedwojennych terenów Krainy Ducha Gór.

Warto zadać sobie pytanie, czy powojenną kuchnię Dolnego Śląska i Karkonoszy należy upraszczać do stwierdzenia, że jest to "kuchnia kresowa". Ten często używany skrót myślowy nie do końca oddaje o wiele bogatszy kontekst zjawiska współczesnej kuchni regionu. Potrawy kuchni kresowej są niezmiennie popularne i lubiane, warto jednak pamiętać, że to tylko część naszej złożonej kulinarnej tożsamości. Romantyczny i silny mit kresowej kultury oraz kulinariów zagościł w naszej świadomości poprzez potrawy, zwyczaje i tradycje przesiedleńców, często przenoszone z pokolenia na pokolenie w przekazie ustnym. I wiadomo – ile rodzin, tyle przepisów na ruskie pierogi, a każdy najlepszy! Pamiętajmy jednak, że na Dolnym Śląsku "każdy jest skądś". Stąd nasza regionalna i lokalna kultura jest wielowątkowym patchworkiem kulturowym i smakowitym przekładaniem kulinarnym.

O różnicach i podobieństwach kuchni opowiadać można bez końca. Tymczasem, z racji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, zatrzymajmy naszą uwagę na niezwykle symbolicznym, małym ziarenku. **Mak**, bo o nim mowa, zdaje się być tym, który łączy różne światy. Ten karkonoski kulinarny również. Przedwojenny i powojenny. Współczesny. I od tego, co nas łączy, choć opowiedziane innymi smakami, rozpocząć można karkonoskie opowieści stołu.

Mak jest niezwykle tajemniczą rośliną, znaną już w starożytności. Obraz falujących łanów zbóż przetykają todygi kwitnącego na czerwono **mak polnego** *Papaver rhoeas*. To makówki wieńczyły koronę Dionizosa. Ziarna zaś łączyło z postaciami rzymskiej i greckiej mitologii: Demeter i Kory, Hermesa, Thanatosa, Hypnosa, Wenus, Persefony, Morfeusza czy Hery.

W tradycji chrześcijańskiej utrwalił się przekaz, że delikatne, czerwone płatki maku zakwitły po upadających na ziemię, tuż po ukrzyżowaniu, kropkach krwi Jezusa.



To właśnie delikatne płatki symbolizowały nietrwałość, ale też bohaterskość walczących mężczyzn w wojennych starciach. Stały się symbolem hołdu dla poległych żołnierzy podczas I wojny światowej we Flandrii czy podczas manifestacji pokojowych 2015 roku w Ukrainie, tuż po aneksji Krymu.

Słowianie czcili święte maki, ponieważ wierzyli, że mak ma magiczne moce, które mogą chronić przed wszelkim złem. Mak konsekrowano w święto chrześcijańskie – tzw. miodowe uzdrowiska. Przedchrześcijańscy Słowianie obchodzili święto rolnicze, które ma starożytne źródło w świętach Greków, Rzymian, Egipcjan i plemion germańskich. Uroczystości organizowano na cześć Velesa i Dazhboga.

Ziarno wykorzystywane kulinarnie, ze względu na swoje specyficzne właściwości, postrzegane jako niezwykle wymowna roślina, pochodzi z **maku lekarskiego** (*Papaver somniferum*). Kwitnie bladofioletowo, ziarna zaś są szare, niebieskawe, a czasem żółte i białe.

Właściwości ziaren maku doceniono w medycynie, zielarstwie, kosmetologii i wreszcie w sztuce kulinarnej. W naszej opowieści warto mieć na uwadze, że w podobnym kontekście symbolicznym, ale nieco w różnych potrawach, mak pojawia się zarówno w przedwojennej kuchni karkonoskiej, jak i kuchni pogańskiej, słowiańskiej, kresowej. Od czasów starożytnych zachował się do dziś zwyczaj pieczenia pierników z miodem i makiem, które składano w ofierze tym bogom.

Mak jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych składników kuchni śląskiej. Być na Dolnym Śląsku i nie skosztować **makowca z kruszonką** czyli **Mohnkuchen mit Streusel**? – niemożliwe! Nasi przodkowie wierzyli, że właśnie mak, ze względu na swoje właściwości opioidalne, pozwoli im zajrzeć w zaświaty, spotkać się z bliskimi, którzy odeszli w wieczny sen. Do dziś dnia mak symbolizuje spokój, refleksyjność i ukojenie. Stąd pojawia się na stypach, jako niezbędny składnik potraw pogrzebowych, jako dar dla zbłąkanych duszyczek.



Na Śląsku i w Górach Olbrzymich pieczono **ciasto śmierci**, czyli **Totenkuchen**, które było specjalnym rodzajem makowca z kruszonką. W kuchni wschodniosłowiańskiej w postaci rytualnej, pełnej miodu i ziarna **kucji**, symbolicznej stawy dla zmarłych.

Mak był traktowany ze szczególną estymą podczas Dziadów, wywodzących się z tradycji przedchrześcijańskich, słowiańskich. Święto Dziadów, a więc czas spotkania z przodkami i oddawania im czci. Mak w tym kontekście uznawany był za symbol dobrego snu i ukojenia. Dbano o to, by dusze zmarłych, schodzące w tym czasie na ziemię, nie były głodne. Stąd powszechny był zwyczaj wieczerzy z przodkami, które w rodzinnych wspólnotach odbywały się na grobach bliskich. Zwyczaj ten kultywowany jest do dziś w kulturze romskiej. Wiercono, że rozrzucone wokół trumny zmarłego ziarna maku mają moc powstrzymywania złych duchów. Dlatego trumnę obsypywano ziarenkami maku.

Mak chronił też domostwo i domowników. Rozsypywano więc ziarna również tuż przed drzwiami domostwa, ponieważ diabeł mógłby wejść tylko wtedy, gdyby policzył wszystkie ziarenka, a to raczej było niemożliwe.

W bożonarodzeniowych tradycjach kulinarnych jeszcze bardziej wzmocniono siłę symboliki maku. Tak na Śląsku, jak i na Kresach Wschodnich mak pojawia się w tradycyjnych potrawach wigilijnych, bożonarodzeniowych i noworocznych.

W tym sensie, ze względu na obfitość niepoliczalności ziaren, jest symbolem płodności, bogactwa i pomyślności. Na wschodnich weselach oblepiano usta Panny Młodej miodem i makiem, by życzyć parze dostatku na nowej drodze życia.

W refleksyjnym okresie Bożego Narodzenia, kończącego się roku i nadchodzącego nowego, wieszano sobie dostatek i dobrobyt oraz bogactwo plonów poprzez tradycyjne świąteczne potrawy, w których nie mogło zabraknąć maku. W kuchni śląskiej, na Wigilię podawano **moczkę**, czyli rodzaj warstwowego deseru – słodkiej masy makowej z bakaliami i orzechami, przekładanej kawałkami pszennej bułki. W Sylwestra przygotowywano rodzaj „makowych szyszek”, znanych także z Wielkopolski **makietek**, czyli **Mohnpiele**.

Dawniej kolacja wigilijna pełniła funkcję wieczerzy zadusznej. Wieczerzę spożywano w bardzo uroczystym i poważnym nastroju. Potrawy wigilijne nawiązywały do tych zadusznych, stąd zawsze pojawiał się nich mak. Dodawano go do wigilijnego kisielu czy gotowanych ziemniaków.

Na wigilii kresowej nie mogło za to zabraknąć wywodzącej się z rytualnej stypowej kucji **kutii** (lwowskie, Ukraina) pełnej obtłuczonych ziaren pszenicy, sparzonego maku, miodu i bakalii. Ziarno symbolizowało dobre plony, mak obfitość i wspomnienie zmarłych, miód słodycz życia, a bakalie bogactwo i dostatek. Na Wileńszczyźnie wyjątkowym wigilijnym deserem pełnym maku były śliżyki z podsytą. To niezwykle urocze litewskie drobne bułeczki z drożdżowego ciasta, polane słodkim mlekiem makowym pełnym miodu, bakalii i orzechów.

Rozmarzyliśmy się, prawda? Powróciły wspomnienia naszych rodzinnych wigilijnych stołów, aromatów wyjątkowych potraw. Obrazy bliskich nam osób, których być może już z nami nie ma. Na szczęście jest mak i jego niepoliczalna obfitość, pozwalająca się łączyć i życzyć sobie dobroci na nadchodzący czas:

Maku, by łączyć światy

Orzechów, by mądrze dbać o siebie

Miodu, by osłodzić świat

Zieleni iglastych gałązek, by czuć nadzieję

Piernika, by czuć smak

Ludzi, by czuć ciepło

Stołu, by móc ukroić na nim chleb

Kontaktu z sobą samym, by puszczać to, co nieistotne

Butów, by iść dalej

Słońca, Nieba i Ziemi

by żyć...

Coś do samodzielnego przygotowania

Śląskie ciasto makowe z kruszonką Schlesischer Mohnstritzel

Składniki na ciasto drożdżowe"

350 g mąki pszennej luksusowej

125 ml lekko ciepłego mleka

70 g miękkiego masła





30 g świeżych drożdży
30 g cukru
1 jajko
szczypta soli
Masa makowa
200 g mielonego maku
150 g miękkiego masła
6 jajek (żółtka oddzielone od białek)
3 łyżki mąki pszennej
6 łyżek bułki tartej
80 g cukru + 60 g do piany z białek

1 łyżeczka startej skórki z ekologicznej cytryny lub pomarańczy lub ekstrakt migdałowy, cytrynowy, pomarańczowy (dodałam 2 łyżeczki likieru migdałowego) – opcjonalnie

Kruszonka

170 g mąki pszennej (w przepisie 300 g)
130 g miękkiego lub stopionego masła
100 g cukru pudru i 15 g cukru z prawdziwą wanilią (w przepisie 130 g zwykłego cukru)

Przygotowanie

Przygotowanie ciasta drożdżowego: do miski przesiać mąkę, w środku odcisnąć zagłębienie i wsypać do niego pokruszone drożdże, dodać trochę mleka, 1 łyżkę cukru i delikatnie wymieszać z częścią mąki. Przykryć i odstawić zaczyn drożdżowy do wyrośnięcia na 15 minut. Po tym czasie dodać 30 g cukru, resztę mleka, miękkie masło, jajko i szczyptę soli. Zagnieść lub wyrobić ciasto najlepiej w mikserze przy pomocy haka do ciasta drożdżowego (zajmie to 10 minut). Wyrobite

ciasto ma być gładkie i nie powinno przyklejać się do ścianek miski. Gotowe ciasto odstawić do wyrośnięcia na 20 minut.

W tym czasie przygotować masę makową: żółtka wymieszać/utrzeć z cukrem i miękkim masłem. Dodać mielony mak – wcześniej gotowy, mielony, suchy mak zalać wrzątkiem do przykrycia i wystudzić. Następnie dokładnie odcisnąć z nadmiaru wody np. w Inianej ściereczce kuchennej (ja dodałam suchy, mielony mak, ale polecam dodać ten sparzony wrzątkiem i odcisnięty, wtedy masa makowa po upieczeniu będzie bardziej wilgotna). Do masy wsypać mąkę i bułkę tartą. Białka ubić na sztywno, następnie dodawać po trochu cukier (60 g) i nadal ubijać do sztywności. Gotową pianę z białek ubitą z cukrem połączyć z masą makową, delikatnie mieszając szpatułką (na początek dodać 2 łyżki piany, by rozrzedzić masę, następnie resztę i dokładnie wymieszać).

Wszystkie składniki na kruszonkę wymieszać i rozetrzeć w palcach.

Blachę o wymiarach 33 cm x 23 cm wyłożyć papierem do pieczenia. Wyrośnięte ciasto drożdżowe, lekko podsypując mąką, rozwałkować na wielkość blachy i przełożyć. Na cieście równomiernie rozsmarować przygotowaną masę makową. Całość posypać kruszonką. Ciasto odstawić na 15 minut do wyrośnięcia.

Piec w piekarniku nagrzanym do temperatury 200 st. C przez 30 minut. Po upieczeniu makowiec z kruszonką odstawić do ostygnięcia, następnie pokroić na kawałki.

Kresowa kutia wigilijna

Składniki:

2 szklanki ugotowanej pszenicy na kutię/ bądź kaszy pęczak
1 ½ szklanki ugotowanego w mleku, dwukrotnie zmielonego niebieskiego maku
3 łyżki miodu
⅓ szklanki posiekanej kandyzowanej skórki pomarańczowej
½ szklanki posiekanej suszonej śliwki
1 szklanka posiekanych orzechów, migdałów
1 kieliszek białej wódki

Przygotowanie

Składniki mieszamy i schładzamy, następnie podajemy w małych pucharkach.

Anna Komsta

Autorka korzystała z następujących źródeł:

Kuchnia Ducha Gór czyli smaki Karkonoszy, Piotr Gryszel, Emil Mendyk, Przemysław Wiater, Ad Rem 2020
Opowieści stołu. Ze Wschodu na Zachód, Anna Komsta, Ad Rem 2019
Obyczaje staropolskie XVII–XVIII wieku, Zbigniew Kuchowicz, Wydawnictwo Łódzkie 1975
Mom jo skarb. Smaki tradycji dolnośląskich, red. Elżbieta Berendt, UMWD 2012
Śląskie Niebo Jurgena Gretscheła, Magdalena Maruck, Edytor 2019



Z Bestiariusza Jeleniogórskiego



Pętlik

Zajrzyjcie do tajemniczego świata pełnego fantastycznych postaci pojawiających się w magicznym krajobrazie Kotliny Jeleniogórskiej i Karkonoszy. Wędrówki góorskimi ścieżkami uruchamiają wyobraźnię i pozwalają snuć niesamowite opowieści. Sięgnijcie do niezwyklej książki. Poznajcie kolejną z bestii zamieszkujących Krainę Wiecznych Mgieł...

Fragmety Tomu V „Bestiariusza Jeleniogórskiego”, który właśnie trafia w ręce czytelników. Po niezwyklej powieści fantasy sięgnąć można za pośrednictwem strony internetowej www.jeleniajestpoko.pl

Opowiadanie i obraz: **Tomasz Szyrwiel**



Gdy otrząsnął się z letargu, spojrzął ku zachodnim rubieżom. Słońce powoli chyliło się ku upadkowi, a wydłużające się cienie rozpoczynały swój marny pochód na wschód. Nieustrudzenie brnęły przed siebie, by świadkować narodzinom nocnej pani, która czarnym kirem miała wkrótce przysłonić karkonoskie niebo. Zimny wiatr wił się niczym rzeczny piskorz, unosząc na swych barkach kłusujące drobinki lodu. Górski żywioł atakował zaciekle, jakby za punkt honoru obrał sobie zohydzenie życia wszystkiemu, co dycha. Mimo usilnych starań blade ciało Sudetnika pozostawało głuche na zaczepki wietrzyska. Zobojętniały Jelarz wyprostował sylwetkę i spojrzął za siebie. Kontur Domu Śląskiego przepadł za bezkresem ośnieżonej kosodrzewiny, przed nim zaś uwidocznił się migotliwy zarys schroniska, o którym mawiano, że zatopione w łękach. To w jego cieple miał grać się jeszcze tego wieczora.

Po ostatniej dzikiej pijatce w Domu Śląskim ciało i głowa odmawiały współpracy, a sama robota szła jakoś ślamazarnie. Do obrobienia pozostał niekrótki ciąg tyczek, które wyznaczały drogę pomiędzy dwoma schroniskami. Kasta Sudetników od pokoleń dbała, by ta ochronna arteria była drożna dla wędrowców nawet zimą, gdy wysokie góry pustoszały. I nie chodziło tu o walkę ze śnieżnymi zaspami, gdyż te regularnie wywiewał wiatr. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. O utrzymanie ciągłości tyk. To one wraz z naniesionymi na nie runami sprawiały, że sudeckie szlaki pozostawały wolne od górskich mamideł, które zimą lęgły się tu na potęgę. To one utrzymywały kruchą równowagę między życiem a śmiercią. Równowagę, którą zaburzyły wydarzenia poprzedniej nocy.

Wszystkiemu winna była ciepła wilgoć z południa, która postanowiła wspinać się na szczyty, jakoby ciekawa sudeckich widoków. Prócz baśniowych krajobrazów zastała na górze coś jeszcze. Odwiecznego wroga, skrywającego się pod postacią agresywnego chłodu z północy. Niewiele czasu musiało upłynąć, by masy powietrza rzuciły się sobie do gardeł.

Przez Karkonosze przetoczyły się śnieżne burze. Lasy oblekła zdradziecka okiść, która gruchotała nie tylko sążniste konary, ale i całe drzewa. Nawet gorliwe kosówki ugięły się pod ciężarem nagromadzonej bieli. Chyliły swe czoła ku ziemi, błagając zimę, by ta okazała litość i zdjęła z ich barków choć garstkę lodowego utrapienia. Zawiorowanie w pogodzie odbiło się również na ochronnych tykach. Te, jak wszystko wokół, pokryły się płaszczem tak przygniatającym, że co rusz po okolicy niósł się trzask łamanego drewna. Z powstałych na szlakach wyłomów zaś ulatywała zapowiedź bezpiecznych wędrowek. Gdy tylko pogodowe szaleństwo ustało, do działania zaprzęgnięto kompanie Sudetników zasiedziały w bezpiecznych schroniskach. Oderwani od stołów i biesiad ruszyli na szlaki, by od rana do zmierzchu rozbijać grudy lodu i odtwarzać zatarte przez mróz runy.

Wraz z nadejściem wieczornej zorzy ustało stukanie młotów. Zastąpił je jelański okrzyk:

– Fajrant! – Po chwili ciszy głos rozbrzmiał ponownie: — Młody, tyś gdzie?
– Tu jestem!
– Na zapchlone Bestie, czemuś tak w tyle, kończysz już?
– Oswobodzę te kilka sztuk i do was dołączę — odparł zawstydzony, chcąc podgonić nieco robotę.
– Pewnyś? Zaraz zmierzcha, a do schroniska trza dojść!
– No przecie mówię, jedna, dwie, nie więcej jak trzy i ruszam. Drogę do budy widać. Dogonię was!
– Upartyś! — odparł przodownik, po czym rzucił do pozostałych: — Chłopy, pakować bambetle, ruszamy!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wysmagane chłodem sylwetki ruszyły ku schroniskowym rozkoszom: ciepłu kominowego ognia, sytej strawie i mocnym napitkom.

Osamotniony młodzian skupił się na tyce chylącej się do jego stóp. Począł walić w nią nieustrudzenie, chcąc jak najszybciej uwolnić ją od olbrzymiej bryły, przygniatającej ją do ziemi. Kiedy młot uderzył po raz setny, wraz z drobinami lodu na ziemię padł on sam. Uwolniony pał wystrzelił do pionu niczym rażony piorunem. Jelarz nie zdołał uniknąć uderzenia.

Cały impet przyjęła jego głowa. Bezwładne ciało zapadło się w śnieżną zaspę.

Ocucił go dźwięk przypominający ni to ryk, ni to krzyk. Z trudnością podniósł się, kołyszając się niczym pijany. Ból rozsadał mu czaszkę. Śnieg wokół nasiąkł szkarłatem. Zdezorientowany, skierował mętny wzrok ku źródłu cudacznego jęzgotu. Ujrzał Śnieżkę, którą oplotta mglista tunika. Wraz z obłokami w jej okolicę przywędrowało coś jeszcze. Z mętności wyłoniła się mara, której szorstkie futro mierzwił niesforny wiatr. Czupiradło przypominało splątany zlepek mrozu i lodu. Pograżone w chaosie, brnęło niewzruszone w jego stronę.

Pojawienie się zjawy przebudziło czarci wicher, który zaczął napierać na nieoczyszczone tyki. Te zaczęły pękać jedna po drugiej niczym zwykłe zapalki. Przerażony, rzucił się do ucieczki, jednak od zabezpieczonego przez kompanów fragmentu szlaku dzieliła go zbyt duża odległość. Swoje dołożył ból, który nasilał się z każdym pokonanym krokiem. Chcąc nie chcąc, zwolnił, a mgły zasnuły okolicę. Przepadła Śnieżka, przepadła zjawy. Rozmył się szlak i odległy zarys schroniska. Przetarł oczy, nie będąc pewnym, czy aby nie utknął w sennym koszmarze. Wtedy to dziwaczny skowyt ponownie wypełnił przestrzeń. Jelarz poczuł dotkliwy mróz. Jednak nie ten niesiony przez wiatr, a inny, płynący z jego trzewi. Jakby sama zima zagnieździła się w jego ciele. Zamknął oczy z nadzieją, że obłąkańczy chłód to złuda.

Gdy otrząsnął się z letargu, spojrzął ku zachodnim rubieżom. Słońce powoli chyliło się ku upadkowi, a wydłużające się cienie rozpoczynały swój marny pochód na wschód. Nieustrudzone, brnęły przed siebie, by świadkować narodzinom nocnej pani, która czarnym kirem miała wkrótce przysłonić karkonoskie niebo.



Nowości Wydawnictwa Ad Rem

24 listopada w Muzeum Karkonoskim w Jeleniej Górze odbyło się spotkanie „Trzy razy o Duchu Gór”, czyli spotkanie promocyjne, dotyczące publikacji wznowionych po 20 latach przez Wydawnictwo Ad Rem. Wspominaliśmy o nich w poprzednim numerze „Z Krainy Ducha Gór”. Gośćmi spotkania byli Emil Mendyk, tłumacz „Pięciu legend o Duchu Gór Rzepórze” Johanna Karla Augusta Musäusa, a wraz z nieżyjącym Tomaszem Pryllem – „Źródła pisanych dotyczących Ducha Gór z Karkonoszy od średniowiecza do końca XVII w.” Konrada Zachera oraz Andrzej Paczos, tłumacz „Znanych i nieznanych historii o awanturczym i sławnym na całym świecie Duchu Gór” autorstwa Johannesza Praetoriusa. Żywiołowa rozmowa oraz aktywny w niej udział publiczności udowodniły tylko niesłabnące zainteresowanie powyższymi lekturami. Tymczasem niedługo do utworzonych przez Ad Rem serii wydawniczych: *Tako rzeczce Ripphen Zabel* i *Studia Ryfejskie* dołączą nowe pozycje.

Co nowego w seriach *Tako rzeczce Ripphen Zabel* i *Studiach Ryfejskich*

W pierwszej z wymienionych serii ukaze się książka Grażyny Prawdy pt. „Noc na Śnieżce. Theodor Fontane i jego Karkonosze”. Jest ona owocem pracy autorki nad tłumaczeniem pięciu opowiadań tzw. „historii śląskich” Theodora Fontanego, wybitnego pisarza niemieckiego, przedstawiciela realizmu mieszczańskiego. Okazało się, że tłumaczenie wymagało od autorki zebrania dodatkowych informacji i komentarzy dla polskiego odbiorcy, których źródłem mogły być tylko historyczne teksty czy zachowana korespondencja samego pisarza, który – podkreślmy to – w późnym okresie życia, najbardziej twórczym, regularnie spędzał lato w Karkonoszach, zatrzymując się najczęściej w Karpaczu i Miłkowie.

Powstały więc komentarze do poszczególnych opowiadań („Noc na Śnieżce” (1890), „Ostatni laborant” (1891), „Uradowany!” (1891), „Stary Wilhelm” (1892), „Profesor Lecjusz, czyli Nareszcie w domu” (1892)), często dłuższe niż same teksty oryginalne. Zawarte w komentarzach informacje, w tym szkice okoliczności, w jakich powstało dane opowiadanie, opis historycznych faktów, które stały się jego kanwą czy też analiza warsztatu pisarskiego niemieckiego twórcy, pozwalają polskiemu Czytelnikowi na lepsze zrozumienie tłumaczonych tekstów.

W książce Grażyny Prawdy znajdziemy także rozdział poświęcony wspomnieniom pośmiertnym o Theodorze Fontanem. Ich autorami są: Georg Friedleander, Wilhelm Bölshe, Tomasz Mann i Hanns Fechner. Są to nader intrygujące teksty, pełne odniesień do literatury niemieckiej w ogóle, ale także zdradzające osobisty stosunek twórców do dzieła i osoby Theodora Fontanego.

O Duchu Gór jeszcze raz

Pierwszą z publikacji, która ukazuje się w serii *Studia Ryfejskie*, a której premiera została zaplanowana podczas grudniowych Targów Dobrej Książki we Wrocławiu, jest „Duch Gór Rübezahl. Geneza i upowszechnienie legendy” autorstwa Lucyny Biały. Także i ta publikacja to wznowienie wydania



z 2003 r. Lektura, napisana pod kierunkiem prof. Jacka Kolbuszewskiego, pozwala prześledzić rozwój legendy o władcy Karkonoszy już od czasów spisania w średniowieczu pierwszych ksiąg walońskich do końca II wojny światowej.

Dowiadujemy się z niej m.in. o odkryciach dotyczących Ducha Gór raczej sceptycznego w tej materii Caspara Schwenckfeldta, żyjącego na przełomie XVI i XVII w. fizyka i medyka miejskiego w Jeleniej Górze, a później w Zgorzelcu, który terenem swych wypraw badawczych nad florą i fauną uczynił przede wszystkim Karkonosze. Czytelnik dokładnie zapozna się także z twórczością Johannesza Paula Praetoriusa czy Johanna Karla Augusta Musäusa. Zebrane przez jednego opowiadki, częściowo wymyślone przez samego autora i spisane przez drugiego legendy dają wyobrażenie, jak postrzegano w czasie powstawania tych publikacji postać Ducha Gór. Lektura omawia również twórczość Benedikte Nauber (właściwie Christiane Benedicte Eugénie Nauber), pisarki urodzonej prawdopodobnie w 1752 r., a nawiązującej do dzieła J.K.A. Musäusa.

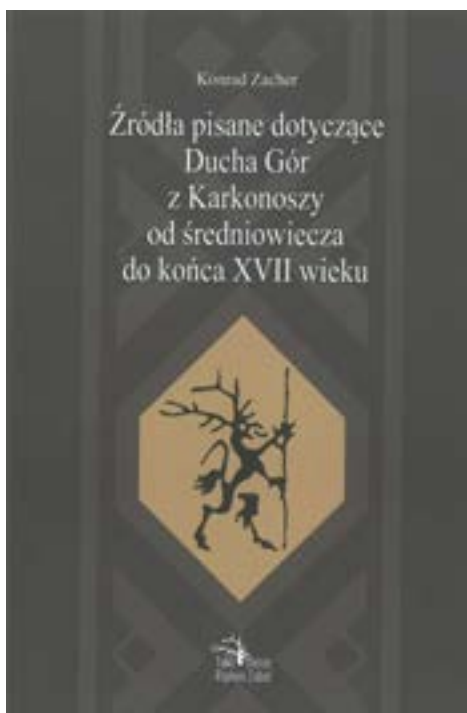


Lucyna Biały pisze także o recepcji Ducha Gór w kulturze – w tym w muzyce, teatrze czy filmie. Analizuje m.in. operę „Rübezahl” Thomasa Vinzenza Tutzeka, twórczość teatralną Augusta von Kotzebuego, który bohaterem jednej ze swych sztuk uczynił legendarnego władcę Karkonoszy, czy film Paula Wegenera „Rübezahls Hochzeit” („Wesele Rübezahla”), jeden z pierwszych obrazów wyświetlanych w kinach niemieckich już w 1916 r. Rozważania autorki kończy pakiet przemyśleń dotyczący powiązań między Duchem Gór a światem polityki.

Wznowienia książek Przemysława Wiatera

Do serii wydawniczej *Studia Ryfejskie* trafią także bardzo poczytne książki dr. Przemysława Wiatera, w tym: „Zauroczeni Karkonoszami. Stowarzyszenie Artystów św. Łukasza w Szklarskiej Porębie” oraz „Walonowie u Ducha Gór. Podziemne skarby Karkonoszy i Gór Izerskich”. Obie publikacje są Czytelnikom świetnie znane, jednak ogromne nimi zainteresowanie skłoniło Wydawnictwo Ad Rem do opublikowania ich kolejnych wydań.

Pierwsza z publikacji szczegółowo opisuje przedwojenną kolonię artystyczną w Szklarskiej Porębie, ukształtowaną wokół braci Carla i Gerharta Hauptmannów, którzy zamieszkali pod Szrenicą pod koniec XIX w. Możemy prześledzić w niej, jak Hauptmannowie stali się magnesem przyciągającym do tej części Śląska twórców pracujących dotąd w niemieckich metropoliach. Poznajemy sylwetki po-



szczególnych pisarzy, filozofów, malarzy, m.in. Wilhelma Bölschego, Brunona Willego, Hannsa Fechnera, ich wzajemne relacje, życie osobiste i pomysły dotyczące uczynienia z nowego miejsca zamieszkania małej ojczyzny. Przemysław Wiaterek opisuje także proces kształtowania się Stowarzyszenia Artystów św. Łukasza, jego członków i ich działalność artystyczną, kreując przed Czytelnikiem geografii artystyczną Szklarskiej Poręby.

Publikacja zawiera też mnóstwo reprodukcji opisywanych dzieł, a także bardzo ciekawe aneksy, czyli tłumaczenia (m.in. autorstwa Tomasza Prylla) tekstów niemieckich o treści uzupełniającej opis fenomenu kulturowego, jakim bez wątpienia stała się przedwojenna kolonia artystyczna w Szklarskiej Porębie.

Druga z wymienionych wyżej książek Przemysława Wiatera traktuje o poszukiwaczach skarbów Karkonoszy i Gór Izerskich, zwanych walonami (Walonami, Walończykami), którzy, jeśli nie pochodzili z terenów pogranicza dzisiejszej Belgii i Francji, to zajmując się eksploracją minerałów i kamieni szlachetnych Gór Olbrymich, określani byli właśnie jako walonowie.

Zmarły w 2020 r. historyk i muzealnik opisuje tworzone przez walonów tzw. spiski walońskie, tajemnicze znaki, którymi się posługiwali, miejsca wydobywania szczególnie cennych minerałów czy obyczaje poszukiwaczy, mające ich ustrzec przed zemstą zazdrosnego o swe dobra Ducha Gór. Bo i o legendarnym władcy Karkonoszy traktuje publikacja Przemysława Wiatera.

Wszystkim zainteresowanym nowościami wydawniczymi Wydawnictwa Ad Rem polecamy śledzić strony internetowe wydawnictwa, a także jego profil Facebook oraz profil Skryba Ducha Gór poświęcony działalności publikacyjnej Ad Rem-u.



Sandra Jaskólska



Dawnej fotografii czar

Wyjątkowa propozycja dla wszystkich miłośników gór, historii regionu, podróży w czasie i przestrzeni oraz przede wszystkim fotografii. Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze do 1 marca 2024 r. prezentuje znakomitą wystawę fotografii europejskiej i karkonoskiej pt. „Świat dawnej fotografii. Z Europy w Karkonosze 1850–1918”. To fantastyczna wyprawa w przeszłość, jakiej nie można przegapić!

Wystawa jest próbą odpowiedzi na pytanie, jak idea fotografii zawędrowała w Karkonosze? W kolekcji muzealnej znajduje się album z unikalnymi fotografiami oprawiony w zielone płótno z tłoczoną i złożoną datą 1856. Pochodzi on z dawnego archiwum majątku książąt Reuss ze Stanisłowa. Kilkadziesiąt fotografii luzem odnalezionych w zbiorach jeleniogórskiego muzeum udało się powiązać z tym albumem i rodziną von Reuss. W jeleniogórskim archiwum, w zespole: Archiwum książąt Reuss ze Stanisłowa, znajduje się aż 10 albumów z lat 1850–1944 stanowiących kolekcję zdjęć, pamiątek i portretów rodzinnych, portretów arystokracji pruskiej i niemieckiej, ujęć pałaców i rezydencji, ale też fotografii związanych z podróżami przedstawicieli rodu Reuss i ich działalnością dyplomatyczną. Są one dowodem na wczesne zainteresowanie członków tej rodziny zarówno fotografią, jak i tworzeniem swoistej kolekcji zdjęć. Powyższe fakty pozwalają hipotetycznie odpowiedzieć na pytanie, jak idea fotografii zawędrowała na Dolny Śląsk i w Karkonosze.

Wczesne fotografie krajoznawcze z Europy, portrety władców i arystokracji, rezydencje oraz pojedyncze fotografie z wydarzeń politycznych, pochodzą z okresu pobytów przedstawicieli rodu Reuss w placówkach dyplomatycznych. Najstarsze fotografie datowane są na lata 50. i 60. XIX w. oraz okres panowania cesarza Napoleona III, kiedy członkowie rodziny von Reuss byli w czynnej służbie we Francji w latach 1850–1874. Fotografie z najstarszych albumów Reussów okazały się perełkami, dziełami drugiego pokolenia fotografów francuskich, angielskich i niemieckich. Identyczne i podobne ujęcia znajdują się w renomowanych kolekcjach fotografii znanych muzeów, instytucji oraz fundacji europejskich i amerykańskich.

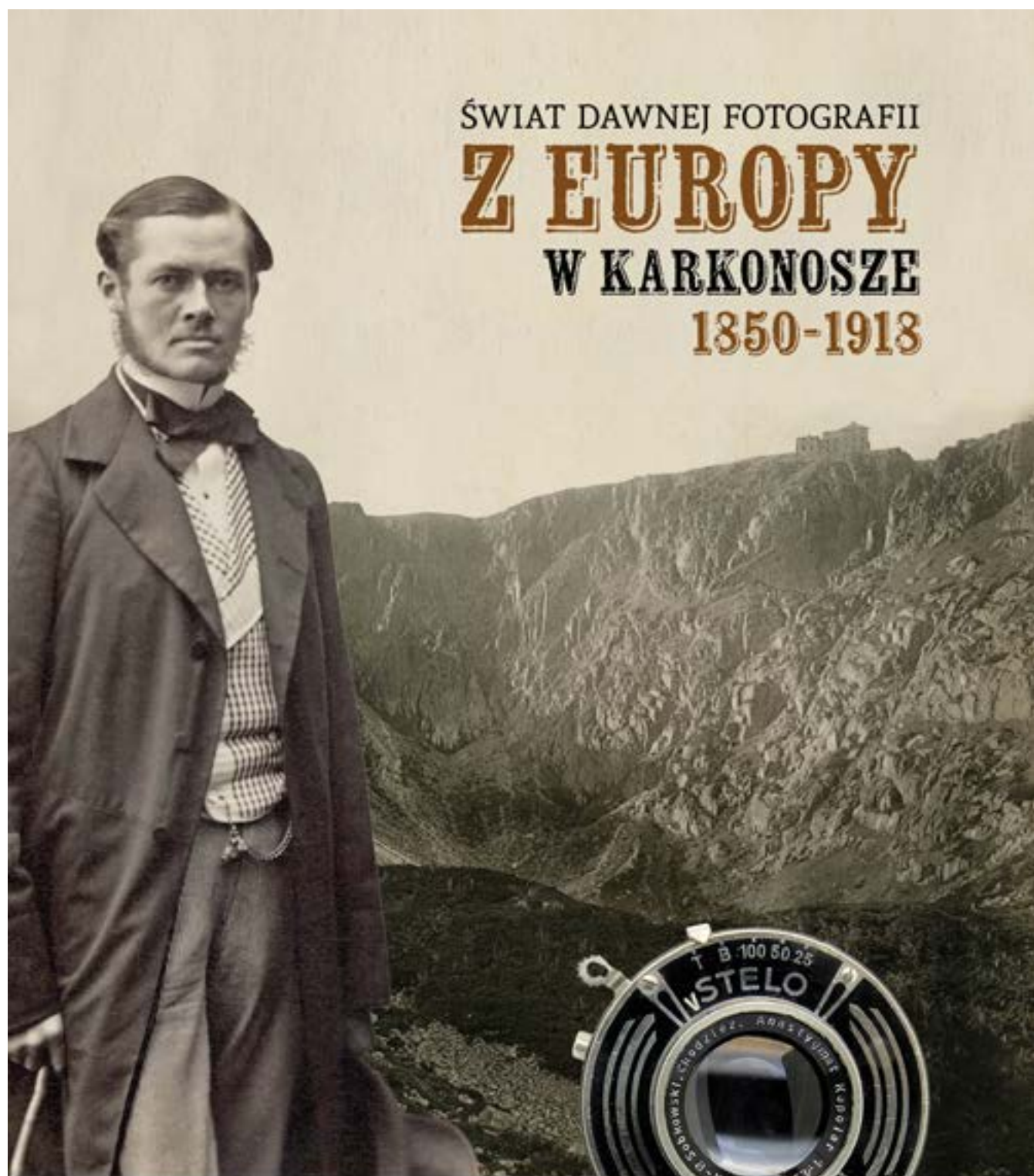


W jeleniogórskim archiwum odnaleziono portrety pruskiej i śląskiej arystokracji skoligaconej z Reussami ze Stanisłowa. Ta część wystawy, prezentowana w holu na pierwszym piętrze muzeum, jest wstępem do pokazania bogatej kolekcji fotografii karkonoskiej ze zbiorów Muzeum Karkonoskiego we Vrchlabi i Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze, zaprezentowanej w dwóch salach wystawowych. W ostatniej sali zaprojektowano wnętrze atelier ze sprzętem fotograficznym, pracownię fotograficzną z elementami wyposażenia oraz poczekalnię dla interesantów. Sprzęt fotograficzny, wyposażenie atelier i pracowni użyczył Karol Wilczyński, kolekcjoner z okolic Poznania. Aranżację wnętrza wykonano na podstawie opisów i planów archiwalnych znanych jeleniogórskich zakładów fotograficznych i działającego wówczas atelier pod Śnieżką.

Uzupełnieniem wnętrza atelier są przykłady fotografii portretowej z kolekcji obu karkonoskich muzeów. Te i inne fotografie z kolekcji trzech instytucji będzie można podziwiać na wystawie „Świat dawnej fotografii. Z Europy w Karkonosze 1850–1918” w jeleniogórskim muzeum. Wystawa jest organizowana wspólnie z Muzeum Karkonoskim we Vrchlabi i jeleniogórskim oddziałem Archiwum Państwowego we Wrocławiu.

Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze

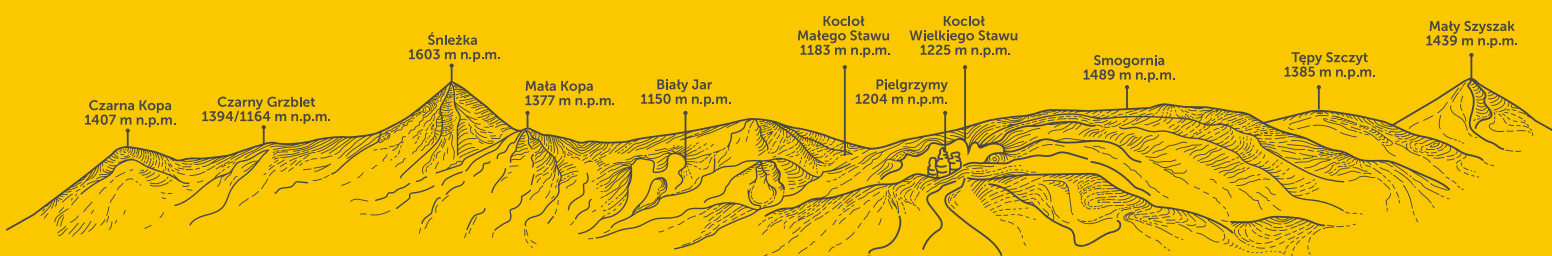




24 PAŹDZIERNIK 2023 - 1 MARZEC 2024



PRODUKTY LOKALNE



posłuchasz informacji o usługach
i produktach z certyfikatem
Karkonoskiej Marki Lokalnej



dotrzesz do miejsc
certyfikowanych marką lokalną



dowiesz się, gdzie i jak
kupić produkty lokalne



KarkonoszeSlow



www.SkarbiecDuchaGor.pl



<https://sklepduchagor.pl/>



www.KrainaDuchaGor.org